



---

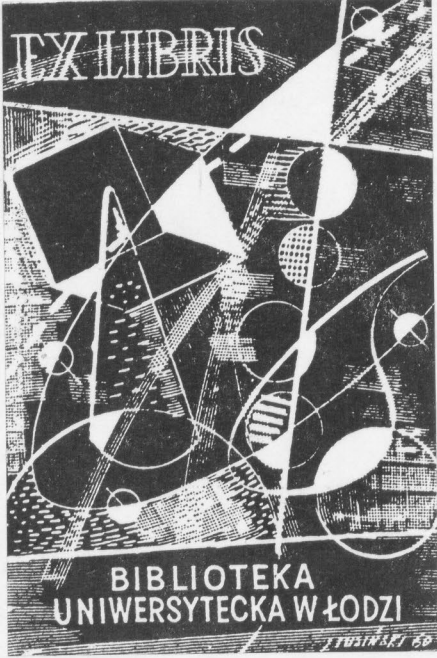
BIE-  
SIA-  
DA

---

1

1924

P 5096



WYDZIAŁ INŻYNIERSTWA  
BIEŻIADA

NR 14

WYDZIAŁ INŻYNIERSTWA



TYGODNIK ILUSTROWANY

# BIESIADA

(GWAR POLSKI)

NR. 1

Biblioteka Prywatna  
№ \_\_\_\_\_  
R. SALECKIEGO

WARSZAWA 19 PAŹDZIERNIKA 1924

p5096

8/51

# Warszawskie Przedsiębiorstwo Asfaltowe i fabryka Tektur

dawniej Inżyniera Spornego.

Warszawawa, ul. Solec 58. Telefon 6-67.

Egzystuje od roku 1865 jako pierwsza fabryka w dawnej Kongresówce. Droga długotetniego doświadczenia produkuje w gatunkach wyborowych znane powszechnie:

Tekturę asfaltową do krycia dachów. Lak asfaltowy do smarowania dachów papowych. Paski do listew, (klebemase) lepnik i t. d. Wykonywa: roboty dekarские z własnych meterjałów, roboty asfaltowe jako to: wylewanie bram, chodników i t. p. Izolacja fundamentów.

Wszystko najsolidniej po cenach i na warunkach jak najprzystępniejszych.

## POLECA NA SEZON JESIENNY:

Pługi oryginalne **Ventzkiego** wszelkiego rodzaju.

Kultywatory sprężynowe.

Brony polne, posiewne.

Siewniki rzędowe „Polonia“.

Siewniki oryginalne „Saxonia“ Siederslebena.

Siewniki oryginalne „Simplex“ Dehnego.

Siewniki do sztucznych nawozów oryg. „Westfalja“ Kuxmanna.

## Związkowa Centrala Maszyn

Tow. Akc.

Poznań. ulica Wjazdowa 9.

Adres dla depesz: **Cemata-Poznań.**

## WIELKI WYBÓR

# KAPELUSZY

najnowszych fasonów po cenach przystępnych poleca

**Maison de Modes**

**„Z. MIERUCKA”**

Warszawa, Krucza 17.

## Apteka S. S<sup>-rów</sup> F. Podolskiego

w Otwocku, ul. Kościelna

posiada: środki lecznicze, krajowe i zagraniczne. Tlen. Wody sztuczne i naturalne.



Przyjmuje analizy lekarskie

Egzystuje od r. 1898

# B I E S I A D A

( G W A R P O L S K I )

P I S M O T Y G O D N I O W E I L U S T R O W A N E

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA NOWY ŚWIAT 50, TEL. 291-60

WARSZAWA 19 PAŹDIERNIKA 1924 ROK I NR 1.

## Najlepsze mydło toaletowe MYDŁO Z MONETĄ

Wytwórni Perfumerji „Marquise de Sevigny“

Każdy kawałek mydła zawiera monetę;  
złotą, srebną, lub bilon.

PONIEWAŻ TYGODNIK NASZ ZAREKLAMOWANO POCZĄTKOWO POD NAZWĄ „GWAR POLSKI“, A NAZWĘ TĘ OBECNA REDAKCJA ZMIENIŁA NA „BIESIADĘ“, PRZETO PRZEZ PEWIEN CZAS UMIESZCZAĆ BĘDZIEMY W NAGŁÓWKU PISMA OBA TYTUŁY.



P 5096 / 1. 1924

## DO CZYTELNIKÓW.

Zwierciadłem życia być pragniemy. Przedewszystkiem — zwierciadłem życia polskiego. Chcielibyśmy, aby wiernie odbijały się w piśmie naszym wszystkie potrzeby, pragnienia i dążenia Polski — narodu i państwa.

Nie ominiemy obojętnie żadnej dziedziny życia narodowego i żadnego ważniejszego objawu. Pragniemy, aby tygodnik nasz kształcił i urabiał pod względem obywatelskim.

Niemniej starać się będziemy, aby informował zwięźle o chwili bieżącej i dawał szlachetną rozrywkę — to wytchnienie po pracy i podniecie do pracy dalszej.

Nie zamierzamy bynajmniej ograniczać się do Polski. Życie bowiem polskie jest częścią życia ludzkości. Człowiek współczesny musi być zarazem obywatelem świata. Czuć i żyć z całym światem. Polakowi zaś może bardziej, niż komu innemu, potrzeba wiedzieć, co się dzieje poza jego granicami, u sąsiadów — i dalej na szerokim świecie. Niejednego też od obcych uczyć się musimy.



Nie będziemy służyć żadnemu stronnictwu ani obozowi politycznemu. Ze spraw politycznych rozważać i oświetlać będziemy bezstronnie tylko podstawowe zagadnienia naszego bytu państwowego i narodowego, które muszą zgodnie łączyć wszystkich Polaków.

Postaramy się jak można najszerzej uwzględnić życie prowincji polskiej. Zwłaszcza wszelkie wysiłki pracy twórczej, budującej i umacniającej Rzeczpospolitą od podstaw na całym jej obszarze — zapalonych w nas mieć będą głosiciele.

Pragniemy przytem mocno być w stałym i ścisłym związku z Czytelnikami. Miły nam będzie każdy list, każda życzliwa uwaga naszych Czytelników. Każde objawione życzenie jak najchętniej rozważymy i w miarę możliwości uczynimy mu zadość.

Hasłem naszym wewnętrznym: doskonalić się ciągle.

Zasadą naszą naczelną i miarą najwyższą — dobro Rzeczypospolitej.

Obyśmy dla niej jak najwięcej w miarę skromnych sił naszych uczynić zdołali.

REDAKCJA.

## N A S Z E S P R A W Y

### POLACY POZA GRANICAMI POLSKI.

W wyniku wielkiej wojny światowej, po upadku kolejnym wszystkich trzech dawnych potęg zaborczych, Rosji, Niemiec i Austrii, Rzeczpospolita Polska odzyskała utraconą przed stu z górą laty niepodległość, a naród polski odżył nanowo pełną piersią w warunkach, o jakich marzyć zaledwie mogli nasi ojcowie. Nazbyt wprawdzie jeszcze przejmują nas troski codzienne, wynikające ze wstrząśnień ekonomicznych, spowodowanych przez wojnę, abyśmy już dziś mogli w pełni ocenić olbrzymią doniosłość tych zmian politycznych w układzie państw europejskich. Pod wpływem też niewątpliwie tych właśnie trosk codziennych nie zwracamy dotychczas prawie wcale uwagi na życie tych licznych skupień polskich, które nie weszły w obręb odrodzonej Rzeczypospolitej i w dalszym ciągu walczyć muszą na każdym niemal kroku z przemocą wrogów, usiłujących wydrzeć im własny język i własną narodowość.

Zarówno traktat wersalski z r. 1919, jak i traktat ryski z r. 1921 oraz dodatkowe postanowienia i uchwały rady ambasadorów mocarstw zwycięskich pozostawiły poza granicami Polski z tych czy innych

względów bardzo liczne, niestety, dzielnice i powiaty, zamieszkane od wieków w całości lub częściowo przez ludność polską.

Na pierwsze miejsce wysuwa się tu Śląsk Opolski. Stara ta dzielnica piastowska mimo setek lat nacisku germanizacyjnego zdołała przynajmniej po wsiach utrzymać swą polskość niemal nieskażoną. Jednak na skutek rozmaitych sztuczek plebiscytowych niemieckich uznana została przez t. zw. radę najwyższą za teren, podlegający wcieleniu do Niemiec. Tylko niewielka stosunkowo część południowo-wschodnia przyznana została Polsce. Obszar Śląska Górnego, na którym w r. 1921 przeprowadzony był sfałszowany przez Niemców plebiscyt, obejmował 10.885 km<sup>2</sup>, z ludnością 2.073.700 głów. Oddano z tego obszaru Niemcom 7.660 km<sup>2</sup>, z 1.093.400 mieszkańców, w tej liczbie około 600 tysięcy Polaków. Miasta na tym terenie jak Opole, Racibórz, Gliwice, Bytom, Koźle, Wielkie Strzelce i in. mają istotnie zewnętrzne pozory niemieckie, choć w nich życie polskie bije nieraz tętnem dość silnem, acz przyciszonem — wsie są jednak wszędzie nawskroś polskie, jeno steroryzowa-

ne przez przemoc niemiecką i boją się występować głośno w obronie swych praw narodowościowych.

Druąga prowincja Niemiec, mająca sporo żywiołu polskiego, choć już otoczonego przez liczne kolonie napływowców Niemców, jest t. zw. urzędownie *Marchja poznańska i zachodnio-pruska* (Grenzmark Posen - Westpreussen), utworzona w r. 1920 z odciętych od tych dwu dzielnic: całego powiatu skwierzyńskiego, części powiatu wschowskiego, babińskiego, miedzyrzeckiego, wieleńskiego, czarnkowskiego i chodzieskiego z dawnego W. Ks. Poznańskiego oraz z całego pow. wałeckiego i części pow. złotowskiego, człuchowskiego, chojnickiego i wejherowskiego z dawnych Prus Zachodnich. Na obszarze 7.722 km<sup>2</sup> mieszka tu 324.796 osób, w tej liczbie około 50 t. Polaków.

Dalej jeszcze ku północy znajdziemy wsie polsko-każubskie w Pomeranii pruskiej, mianowicie w powiatach lęborskim, bytowskim i słupskim. Mieszkają tu t. zw. Kabatkowie czyli Słowińcy, ostatnie szczątki dawnych Pomorzan polskich. Jest ich tu już bardzo niewiele — co najwyżej 5 tys. głów, tonących przytem szybko w zalewie niemieckim.

Spore natomiast skupienia polskie istnieją między dolną Wisłą a Niemnem, w prowincji Prus Wschodnich. Są tu mianowicie trzy grupy ludności polskiej: Mazurzy wyznania ewangelickiego, zamieszkujący całą część południową tej prowincji na pograniczu z województwami: warszawskim i białostockim, a z głównymi ośrodkami w Ełku, Lecu, Szczytnie, Jańsborku i Nicborku — ogółem około 200 tys. głów polskich, niestety, dotychczas, bardzo mało uświadomionych pod względem narodowym; dalej idą sąsiadujący z niziny od północy katolicy warmijscy w liczbie około 60 tys. głów, z głównym ośrodkiem życia — Olszty-

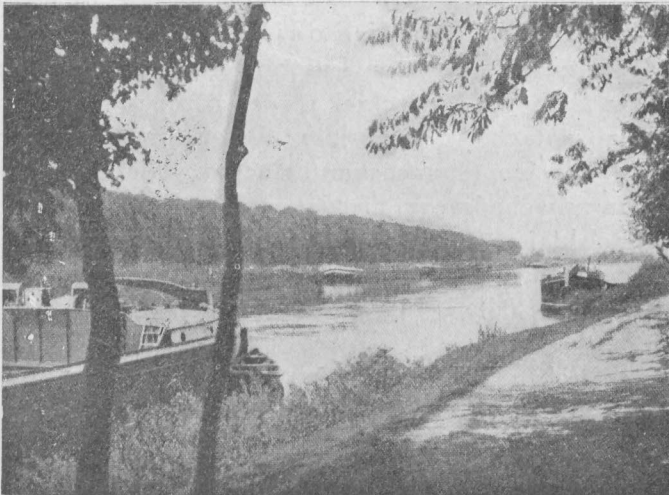


Z Górnego Śląska po tamtej stronie granicy. — Górnoślązacy z Rozbarku pod Bytoniem w pięknych strojach ludowych. — Mieszkają tuż nad granicą Rzeczypospolitej Polskiej, ale już w Państwie Niemieckim.

nem; wreszcie między Kwidzyniem a Malborkiem, w pobliżu Wisły i Nogatu, znajdujemy większy ośrodek polski (kilkanaście wsi) koło miasta powiatowego Sztumu. Wraz z rozsianymi po miastach (Królewcu i in.) Polakami ogólną liczbę głów polskich obliczyć można w Prusiech Wschodnich na 300 tysięcy.

Z powyższych zestawień wynikałoby, że ludność polska w nadgranicznych prowincjach Niemiec sięga bezmała liczby 1 miliona głów. Osobno zaś doliczyć należy Polaków, rozsianych na emigracji po całej Rzeszy, zwłaszcza w Berlinie, gdzie przed wojną było ich kilkadziesiąt tysięcy głów, oraz w Westfalji i Nadrenji, skąd półmiljonowa blisko emigracja zarobkowa polska przeniosła się już zresztą w dużej części do okręgów przemysłowych Francji północnej.

Drugim naszym sąsiadem zachodnim, pod którego rządami mieszka stale niemała również liczba Polaków, jest Czechosłowacja. Według nieprzychylnego nam ostatniego austriackiego spisu ludności z r. 1910 miało być na całym Śląsku Cieszyńskim 223.550 (t. j. 54,9%) Polaków, 113.610 (27,%) Czechów, 76.916 (18%) Niemców. Pomimo stwierdzonej w ten sposób niewątpliwiej bezwzględnej przewagi żywiołu polskiego, piękny ten i bogaty kraik został w r. 1920 przepełniony przez radę ambasadorów, przyczem Czesi dostali więcej, niż połowę całego obszaru, dwie trzecie ludności i cały obszar węglowy karwiński wraz z miastami: Boguminem, Frysztatem, Ostrawą Polską, Frydkiem i Jabłonkowem, ogółem 1.280 km<sup>2</sup> z ludnością 295.191 głów, w tem 140.368 Polaków, 113.643 Czechów i 34.623 Niemców. Ludność polska jest tu przeważnie uświadomiona narodowo, ale też nacisk czeski niemniej jest groźny od niemieckiego i bez od-



Odra na pograniczu polsko-niemieckim w pow. rybnickim na Górnym Śląsku.

działywania z kraju nastąpić może zanik poczucia polskiego.

Graniczy ze Śląskiem Cieszyńskim od południa (za przełęczą jabłonkowską) t. zw. C z a d e c k i e, czyli okolica miasteczka Czacy nad rz. Kisucą (do r. 1918 w północnych W r z e c h). Mieszka tu w 15 wsiach około 36 tysięcy ludności polskiej, niestety, wobec braku własnej inteligencji, ulegającej stopniowo wpływom słowackim i czeskim.

Z obszarem tym łączy się już od wschodu O r a w a, zajmująca południowe zbocza Beskidów zachodnich. Według czeskich nawet badaczy, 38 wsi tutejszych w powiatach: trzciańskim i namiestowskim z ludnością blisko 48 tysięcy dusz uważać należy za polskie. Ale z liczby tej tylko 14 wsi przyznano Polsce. Pod panowanie Czechosłowacji przeszło zatem conajmniej 24 wsi polskich. Jeszcze gorzej na podziale tym wyszedł Spisz. Z 50 wsi bezwzględnie polskich przyznano nam tylko 13, resztę zaś, czyli 37 z ludnością z górą 40 tys. głów oddano Czechosłowacji.

W obrębie Słowaczyny conajmniej 100 tysięcy głów polskich znalazło się pod rządami czeskiemi. Wraz z ludnością polską na Śląsku Cieszyńskim daje to sumę conajmniej 250 tysięcy głów polskich w Czechosłowacji.

Przechodząc do granicy wschodniej i północno-wschodniej wymienić należy przedewszystkiem L i t w ę. Kraj ten, który w ciągu czterech wieków pozostawał w ścisłym związku państwowym z Polską, a potem jeszcze przez sto lat tworzył organiczną część składową całości ziem polskich, opanowany został od czasu wojny, pod wpływami niemieckimi, przez garść zaciekłych szowinistów litewskich, usiłujących nie tylko zerwać wszelkie nici, łączące dotychczas kraj ich z Polską, ale również wynarodowić i wytepić osiadły tam gęsto żywioł polski. Polacy, trzeba dodać, tworzą w tym kraju nie tylko warstwę ziemiańską — niemal całe bowiem mieszczaństwo chrześcijańskie w stolicy kraju, Kownie oraz lud wiejski na rozległym obszarze w byłych zwłaszcza powiatach: kowieńskim, trockim, wilkomierskim — używa tylko języka polskiego i uważa się za polski. Ogółem wśród 2-miljonowej ludności Litwy Kowieńskiej Polaków jest od 200 do 250 tysięcy głów.

W sąsiedniej z Litwą republice Łotewskiej położenie żywiołu polskiego jest, niestety, również prawie złe. Według spisu urzędowego z r. 1920 miało być



Typ Polaka z Mińszczyzny.—Szlachcic zaściankowy z pod Mińska.

Polaków na Łotwie (głównie w t.zw. L e t g a l j i czyli dawnych Inflantach Polskich) 42.028 głów. Wiadomo jednak, że i przeważająca część podanych w spisie rzekomych Białorusinów również uważa się za Polaków; gdybyśmy zatem tylko połowę ich (według spisu — 59.444) zapisali w poczet Polaków, otrzymalibyśmy cyfrę 72 tys. głów. Nie została tu przytem wliczona, jako nieobjęta spisem z r. 1920, wschodnia część pow. iłkukszańskie (ze stolicą w Kałkunach), w której według spisu z r. 1919, było na 17.360 mieszk. 9.207 (53,0%) Polaków, a tylko 1.396 (8,0%) Łotyszów. Ogółem, skromnie nawet licząc, można przyjąć liczbę Polaków na Łotwie na 81 tysięcy.

Bardzo znaczna liczba ludności polskiej zamieszkuje w obrębie obecnej R o s j i Sowieckiej. Tworzy bardzo znaczne skupienia na pograniczu zachodniem t. zw. Białorusi sowieckiej, a więc przedewszystkiem w powiatach: drysieńskim, lepelskim, boryrowskim, mińskim, ihumeńskim i słuckim, dalej na całym obszarze, wchodzącym niegdyś w skład Rzeczypospolitej Polskiej, wreszcie w Petersburgu, Moskwie i wielu innych miastach rosyjskich, nie licząc utraconych już przeważnie dla polskośći kolonistów syberyjskich i t. p.

Wobec braków statystyki rosyjskiej niezmiernie

---

Pamiętajmy o Inwalidach Wojennych!

---

trudnem jest obliczenie tej całej ludności polskiej. Przepuszczalne zestawienia cyfrowe pozwalają mniemać, że liczba Polaków w całej Rosji sowieckiej sięga półtora do dwóch milionów głów.

Pozostaje jeszcze R u m u n j a. Na Bukowinie było według spisu z 1910 r. 36.210 (4,5%) Polaków, w Besarabji liczono ich około 10 tys. Ogółem byłoby zatem około 46 tysięcy głów.

Spróbujmy teraz zrobić zestawienie obliczeń następujących:

600 tys. Polaków na Śląsku Opolskim  
 50 " " w Marchji poznań. i zach.-pruskiej  
 300 " " na Maz. Pruskim i Warmji.  
 250 " " w Czechosłowacji.  
 200 do 250 tys. Polaków na Litwie Kowieńskiej  
 81 tys. Polaków na Łotwie

1½ do 2 milionów Polaków w Rosji sowieckiej

46 tys. Polaków w Rumunji

Ogółem od 3 do 3½ miliona Polaków poza granicami Rzplitej, lecz w sąsiedztwie z Polską.

Nie została włączona do tego obliczenia ani emigracja w Nadrenji i Westfalji, ani emigracja we Francji, ani wreszcie najliczniejsza, bo 3 milionów głów sięgająca emigracja polska w Ameryce północnej i południowej.

Myśl o zachowaniu dla polskości tych, tak licznych odgałęzień polskiego pnia macierzystego powinna częściej, niż dotychczas, zaprzętać uwagę zarówno rządu, jak i społeczeństwa. Byłoby niepowetowaną stratą dla całości, gdyby gałęzie te zaczęły obumierać.

EDWARD MALISZEWSKI.

## DO PUNKTÓW WYJŚCIA

Mieżanina wielkich porywów najszlachetniejszych ludzkości od wieków wypieszczonych z najbrutalniejszymi zamachami na to, co dokonano w wyrokach pokojowych, w wyniku wojny światowej zapadłych. Tak streścić i nazwać należy treść obrad i decyzji międzynarodowych ostatniego okresu w wielkim świecie. Od ostatnich wyborów parlamentarnych angielskich, francuskich i niemieckich wydarzenia doniosłe, płodne w następstwa długotrwałe, toczą się w tempie szybkim i dotychczasowy obraz Europy powojennej przeobrażają zasadniczo.

Niewątpliwie przecież dążeniem narodów w przeważnej ich części, w entencie skupionych, nie było bynajmniej jakieś chwilowe, a najbardziej korzystne, choćby przesadne, wyzyskanie powodzeń wojennych. Przeciwnie, jak sobie to dobrze przypominamy, powszechnie pragnęło się w wyniku najstraszniejszej z wojen wprowadzić wreszcie porządek świata sprawiedliwy, nie budzący obaw powtórzenia się wojny. Jeżeli porównać zechcemy plany niemieckie podbicia Estonji, Polski, Flamandji belgijskiej i drogi bagdadzkiej, a również ujarzmienie Polski całej, Armenji, Konstantynopola w planach rosyjskich, to przecież decydujące o pokoju mocarstwa wyraźnie unikały jakichkolwiek podbojów. Nie dokonały żadnego zaboru, jedynie odbierając ziemie zabrane, i to częstokroć w drodze plebiscytów wśród samej ludności, nie korzystały z zamieszania powojennego, restaurując gdzie było można porządek przedwojenny, — a więc raczej postępowały zbyt ostrożnie i delikatnie, niż zbyt brutalnie.

Odbijało się w tej ostrożności przesadnej zmęczenie wojenne narodów i pokojowe ściśle usposobienie. Obawiano się powszechnie, ażeby jakieś opaczne rozstrzygnięcie nie stało się zarzewiem nowych wojen. Tedy Anglja i Ameryka miarkowały Francję i Włochy, a razem Polskę lub Jugosławję. Wolano mniej zmienić w układzie przedwojennym, uznając to za mniejsze ryzyko nowych wstrząsów wojennych.

Na tem zmęczeniu wojennem zwycięzców zagrali zwyciężeni. Idealizm tamtych, zdążający nie do upokorzenia winowajców wojny, lecz do ustalenia normy w Europie, pacyfizm, pragnący ustalenia wieczystego pokoju, potraktowali jako słabość i bezwład. A że będąc zwyciężeni, nie zostali bezwzględnie poddani prawom nowym, lecz oszczędzeni w najgorszych instynktach i nawet do pewnego stopnia w niesłusznym stanie posiadania, tedy natychmiast podniosła głowę, w zmienionych wprawdzie kształtach, ich przedwojenna organizacja, dopominając się systematycznie o przywrócenie stanu rzeczy, który przed wojną dawał im nadzieję zwycięstwa nad światem i hegemonii powszechnej.

Przed ententą tedy stanęło zagadnienie: albo podjąć wysiłek dalszy, ażeby konsekwentnie ukonstytuować Europę w myśl nowych założeń; albo raczej pójść na ustępstwa od nich pewne, byle narazie pokoju nie zamącić. Pierwsze rozstrzygnięcie nie było zbyt trudne w momencie osłabienia największego Niemiec i Rosji. Nie można powiedzieć, że go nie próbowano. W tym kierunku szła akcja francusko-belgijska w Nadrenji i wysiłki twórcze ententy i Polski na

wschodzie. Brakowało tu jednak ogólnego programu przebudowy zasadniczej, wobec czego łatwo było do-  
 atrywać się w akcji tej motywów raczej egoistycznych. Obawiano się jej nadto jako ryzyka trwania zaburzeń, gdy widziano na świeżo ustalonych granicach Polski, Litwy, Jugosławiji, Rumunii, Włoch, Grecji nowe wybuchy starć zbrojnych (nie patrząc, że powodowane były raczej poszczególnymi błędami rozstrzygnięć, niż ich kierunkiem ogólnym). Tedy zaczęła iść ententa coraz bardziej w kierunku drugim—restauro-  
 wania porządku przedwojennego, owych błogich czasów pokoju i dobrych interesów,—po drodze ustępstw względem zwyciężonych, jakby nie zważając, że w ten sposób nie przywraca się bogactwa, lecz oddala się świat od pokoju, utraconego właśnie w konsekwencji porządku przedwojennego.

Pod tym kątem widzenia patrzeć należy na wydarzenia ostatnie. Francja wycofuje się z Nadrenji i zgadza się na redukcję zobowiązań niemieckich, a przez szpary zaczyna patrzeć na zbrojenia niemieckie, gdy nie tak dawno jeszcze witała akcję separatystów Nadrenji i Palatynatu; Anglja, co gratulowała nam wzięcia Kijowa i sama wysyłała ekspedycje na północ, południe i wschód Rosji, obecnie darzy ją uznaniem, zawiera z nią traktat handlowy i ma obdarzyć pożyczką, Francję nakłania do coraz dalszych kompromisów z Niemcami i Polsce wypomina zwycięstwo górnośląskie; Liga Narodów zaprasza Niemcy, do czuwania nad pokojem...a walczącą Gruzję pozo-

stawia faktycznie na łasce... Rosji. Jednym słowem: odwrót na całej linii do restauracji porządku przedwojennego.

Osobliwe, że stare rzeczy przybrane są w nowe szaty, że hasła reakcji wygłaszane są przez ludzi rewolucji, że to lewica francuska i angielska po dojściu do władzy przywraca podstawy militarizmu niemieckiego i rosyjskiego. Dziwne to jednak tylko na pierwszy rzut oka. Jeśli bowiem masy nasze straciły wskutek wojny część dobrobytu, to znów zyskały własne bytowanie państwowe. Natomiast w pojęciu mas francuskich, a zwłaszcza angielskich wojna była li tylko rzezią, dała jeno wyniki ujemne, — kryzysy, drożyznę, zniszczenie, bezrobocie. To też tak gorąco pragną pokoju, że zamykają oczy na istotne niebezpieczeństwo wojny, łatając naprędce zapomocą doraźnych kompromisów każdą dziurę w dziele pokoju, przez kogokolwiek zostaje nadwyrężone — w Fiume i na Korfu, w Azji Mniejszej i Kłajpedzie. Niemcy i Rosja, doskonale te nastroje wyczuwając, grają na nich coraz śmielej, — i dlatego jednocześnie z rządami kompromisu w Anglii i Francji poważnie zwycięża na wyborach nacjonalizm niemiecki, a Rosja we krwi topi powstanie gruzińskie, grozi Besarabji i niepokoi nasze kresy. Łatwo przewidzieć dalszy ciąg historii, boć niepodobna przypuścić, by w tych nastrojach zechciano na Zachodzie prawdzie spojrzeć w oczy i z niej wysnuć myśl polityczną.

WŁ. WAKAR.

## Co zrobiły nasze samorządy.

Zadań samorządu wynika, że przedewszystkiem ma podnosić kulturę i dobrobyt ludności. Samorząd w tych dziedzinach jest najodpowiedniejszą i wypróbowaną formą administracji publicznej na prowincji. Doniosłość jego tedy jest ogromna — zwłaszcza zaś u nas, gdzie dobrobyt, kultura szerokich rzesz tak bardzo jest zaniedbana. Wszak o tem nie trzeba nikogo przekonywać.

Środki komunikacji w zakresie miejscowym, szpitalnictwo i zdrowie publiczne, opieka społeczna, oświata i kultura, rozwój rolnictwa, przemysłu i handlu, zakłady użyteczności publicznej — oto szczególne działy pracy samorządu, zleconej nam przez ustawy, a w naszych warunkach tak niesłychanie olbrzymiej.

Jakżeż samorząd nasz wywiązał się z tych zadań? Co uczynił, aby zaspokoić te potrzeby?

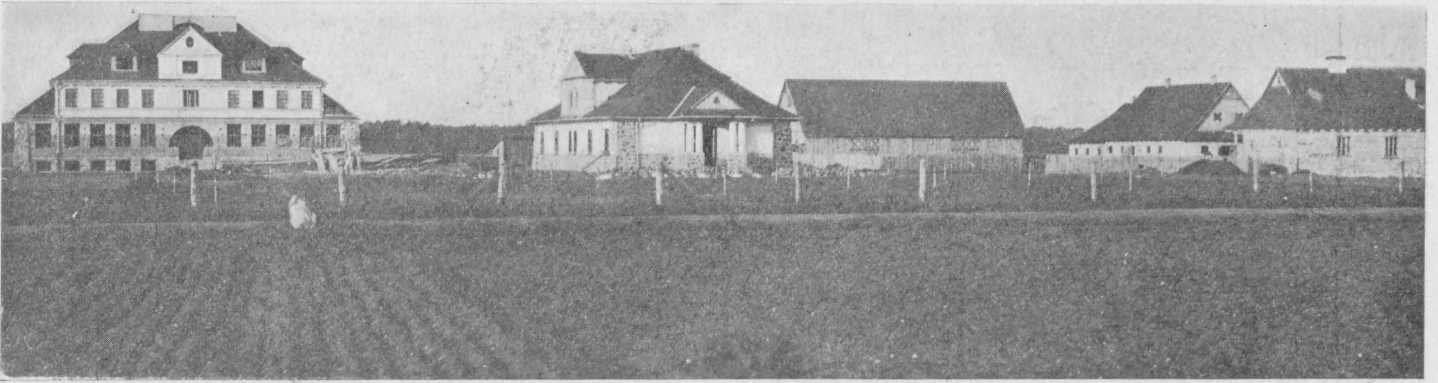
Zgóry należy stwierdzić, że brak jest pod tym względem ściśle opracowanych danych — posiadamy

natomiast całe mnóstwo przykładów ze wszystkich okolic kraju. Świadczą one dobitnie, że samorząd dokonywa pracy ogromnej i podejmuje zadania, obliczone na pożytek wielu pokoleń. Można mówić o przykładach, gdyż ostatecznie taki czy inny wynik zależał i od doboru osób i od układu warunków; następnie zaś — od form organizacyjnych i środków do działania.

Jeżeli przyjrzymy się wynikom pracy samorządu powiatowego b. zaboru rosyjskiego, który powołany został do życia 5 lat temu, to przekonamy się, że wyniki te są znaczne, nieraz zadziwiające.

Zaczerpnijmy więc nieco przykładów.

Jeszcze przedtem dla porównania — parę słów o samorządzie powiatowym b. zaboru pruskiego. Uznajemy go bowiem w pewnej mierze za wzór dla dalszego rozwoju samorządu b. zaboru rosyjskiego, i to zarówno pod względem organizacyjnym jak i metod postępowania. Samorząd powiatowy w Poznańskim



Ch'uba samorządu powiatowego w powiecie pultuskim — szkoła rolnicza w Goładkowie tegoż powiatu. — Widok ogólny szkoły — główny budynek szkolny, mieszkania dla nauczycieli i służby i budynki gospodarskie — wszystko przestronne, widne i czyste — nowoczesne.

i na Pomorzu doszedł już do pewnego rozkwitu. Nie ma potrzeby wyciągać sił na wydatki nakładowe gdyż w dużej mierze zaspokoił już potrzeby komunikacyjne i budowlane. Jest więc przede wszystkim niejako konserwatorem i administratorem dzieł już dokonanych.

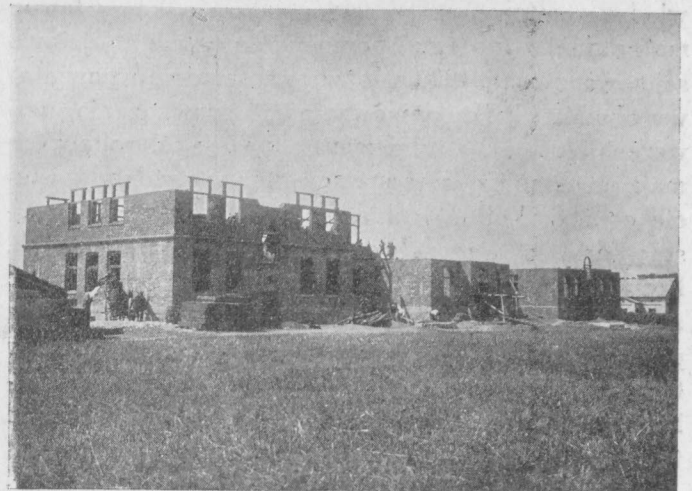
Dla przykładu weźmy pow. grudziądzki. Samorząd pow. grudziądzkiego administruje 270 kilometrami dróg bitych i 400 mostami i mostkami. Na jednej z dróg ma 2 kilometry kolejki, służącej dla celów wojskowych. Posiada własny okręgowy zakład elektryczny, który dostarcza światła i siły popędowej dla całego powiatu. Utrzymuje 25-morgową szkółkę hodowli drzewek owocowych i leśnych. Nadzoruje i kieruje pracami 13 spółek wodnych do meljoracji łąk i pól oraz regulacji rzek i potoków w powiecie. Posiada własny zakład opałowy. Założył i prowadzi bank powiatowy, dla którego nabył niedawno budynek trzypiętrowy; sam koszt jego przebudowy wyniósł 30,000 zł. Utrzymuje we własnym zarządzie 3 kuchnie ludowe, opłaca stale 20 łóżek w szpitalu miejskim w Grudziądzu oraz udziela zasiłków ochronie i domowi starców. Tak się przedstawia dorobek i gospodarka jednego z sejmików w zachodniej Polsce — sejmiku bynajmniej nie wyjątkowego, lecz typowego.

Inaczej ma się sprawa w byłej Kongresówce, a jeszcze inaczej na Kresach. Mamy tu całe morze najpilniejszych zadań ze wszystkich dziedzin życia społecznego. Otóż potrzebom tym samorząd starał się odpowiedzieć jak umiał i co najważniejsze, jak mógł. Po 5 latach pracy wynik w wielu wypadkach jest zaisste imponujący. Weźmy drogi. Powiat opatowski zbudował w ciągu lat 1919 — 1922 55 kilometrów dróg bitych, wykonywując znaczną część swego programu sieci drogowej. Dalej budować nie mógł za sprawą szalonej inflacji i spadku marki polskiej. Pow. mławski stosunkowo ubogi, wytrwale buduje szosy, wyręczając w tem nawet przyszły samorząd wojewódzki

i nawet państwo. Zbudował już 35 klm. i zamierza pracować w tym kierunku dalej. Pow. płocki wybudował 42 klm. dróg bitych. Pow. pińczowski, z ogromnym nakładem energii i środków wybudował dotychczas 75 klm. kolejki wąskotorowej. Są to przykłady pojedynczych wysiłków, pozatem jednak samorząd stale utrzymuje drogi bite, z wyjątkiem dróg głównych — państwowych. Rzadko który samorząd powiatowy nie może pochwalić się mniejszym lub większymi, ale zawsze poważnymi wynikami pracy w tej dziedzinie.

Weźmy teraz szpitalnictwo. Wszak w każdym powiecie jest samorządowy szpital ogólny, często i zakaźny. Zostały one w części przejęte w opłakanym stanie, w części zorganizowane na nowo. W r. zeszłym i bieżącym państwo przekazało samorządowi niemal wszystkie szpitale zakaźne, utrzymywane dotychczas przez Naczelnego Nadzwyczajnego Komisarzją do walki z epidemjami.

Nowe gmachy szpitalne są w wielu powiatach



Budowa szpitala sejmikowego w Gostyninie w stanie obecnym.



Szosa państwowa z Kuklina do Janowa w pow. mławskim, bita przez sejmik mławski.



Szosa wojewódzka z Mławy do Żuromina między wsią Zieloną a osadą Kuczbork — niedawno wybita przez sejmik mławski.

koniecznością. Pow. gostyński np. buduje od r. 1923 kompleks gmachów szpitalnych, które zaopatrzone mają być w najrówniejsze urządzenia techniczne. To dopiero jedna strona działalności. Samorządy w wielu powiatach dążą do wprowadzenia racjonalnej i powszechnej służby zdrowia, dostępnej dla wszystkich; wyraża się to w ustanowieniu rejonów lekarskich, ambulatorjów, poradni, aptek i t. p. W dziedzinie opieki społecznej tymczasowe minimum, do którego samorządy powiatowe dążą, to zorganizowanie najniezbędniejszej opieki zakładowej — sierocińców i domów dla starców i kalek. Wspomnijmy o wynikach, jakie osiągnął np. pow. pułtuski: mianowicie zdobył się na sierociniec na 100 dzieci i dom dla starców i kalek.

Na Kresach, gdzie wojna pozostawiła masę sierot, na samorząd powiatowy spadło trudne zadanie opieki nad nimi. Dwa lub więcej schroniska w powiecie, mieszczące paręset dzieci — to w powiatach kresowych zjawisko prawie powszechne.

Organizacje rolnicze, mające na celu szerzenie wiedzy rolniczej, w szerokim zakresie korzystają z materialnej i moralnej pomocy samorządu. Ustawa sejmowa z roku 1920 włożyła na samorząd powiatowy obowiązek zorganizowania i prowadzenia powszechnych szkół rolniczych. Obok szkół rolniczych mają powstać i zwolna już powstają w każdym powiecie ogniska kultury rolnej, przede wszystkim w postaci ferm doświadczalnych rolniczych i hodowlanych. Promieniają one na okolicę wiedzą i doświadczeniem rolniczym. Szkół takich, pomimo trudnych warunków, powstało już kilkadziesiąt. A niektóre z nich, jak w Czarnocinie pow. łódzkiego, Gołądkowie pow. pułtuskiego, Sitnie pow. zamojskiego, są ostatnim wyrazem tego, czego wymagamy od ludowej szkoły rolniczej.

Szereg gimnazjów, jakie zorganizowały i utrzymują samorządy powiatowe, wyraziły potrzebę oświaty, odczuwaną przez wieś. Szkolnictwo zawodowe tak słabo u nas rozwinięte, znalazło swój wyraz w samo-

ządowych szkołach zawodowych, założonych przez pow. olkuski, częstochowski, puławski, zamojski, lubelski, krzemieniecki i in. W dziedzinie budowy szkół powszechnych piękne karty zapisały sobie samorządy pow. częstochowskiego, białostockiego i wielu in.

Wspomnieć należy też o odbudowie, w której tartaki, cegielnie, betoniarnie, zakładane w szeregu powiatów, odegrały dużą rolę. Prace w dziedzinie weterynarii, nowego budownictwa, przede wszystkim zaś gmachów na pomieszczenie urzędów powiatowych oraz organizacji zakładów użyteczności publicznej, jak elektrownie, meljoracje, jak regulacja rzek, zakończyłyby pobieżny przegląd przejawów działalności samorządu powiatowego.

Mówiliśmy tu ciągle o samorządzie powiatowym b. zaboru rosyjskiego. O działalności miast oraz o gminach wiejskich powiemy kiedyś osobno. Co do samorządu powiatowego w Małopolsce, to ten — niestety pozbawiony środków, właściwie tylko wegetował przez ostatnie kilka lat powojennych.

Mimo trudnych warunków i braku środków, wpływającego z druku spadającego pieniądza, samorząd jak widzimy dokonał już wiele prac, i to prac doniosłych. Są one jednak częścią dopiero tego, co należy dokonać. O ile jednak tak znaczne wyniki zdołano osiągnąć w czasach gospodarczo nienormalnych, to jakich dzieł spodziewać się możemy, gdy odpadną główne przeszkody do działalności jak inflacja, brak kredytu i brak potrzebnego doświadczenia. W okresie, gdy przemysł odnawiał się kosztem państwa, a samo państwo porażone było niemocą gospodarczą, samorząd pracował o własnych siłach i pracował skutecznie. Gdy się ustalą ogólne warunki i podstawy pracy, to niewątpliwie spotęguje się jeszcze bardziej działalność samorządu. Dobrobyt i kultura miast i wsi naszych stanie na wyżynie prawdziwie europejskiej.

R. GROCHOWSKI.



JAN MATEJKO. WERNYHORA.



# Z E S Z T U K I

## ILUSTRACJE BIESIADY

### I. WERNYHORA.

Dziwną i ciekawą postać wydała dawna Rzeczpospolita u schyłku swego istnienia. A raczej wydała ją Ukraina, z Rzeczpospolitą złączona.

Około roku 1760 zjawił się na Ukrainie polskiej przybyły z Zadnieprza z pod panowania wówczas już rosyjskiego, stary Wernyhora. Był on z typu dziadów lirników ukraińskich. Porzucił rodzinną wioskę na Zadnieprzu i osiedlił się w granicach Rzeczypospolitej. Mając do wyboru Polskę i Rosję — Polskę wybrał na oporę Ukrainy. Pędził wśród ludu żywot prosty i świątobliwy. A poświęca ostatnie swe lata, aby przestrzegać i gromić, podnosić i krzepić współobywateli. Jest to jakiś chłopski ukraiński Skarga w Rzeczypospolitej. Ze Skargą sporo ma wspólnego: przedewszystkiem — patos tragiczny i niewątpliwą zdolność przeczuć czy przewidywać. Oczywiście w żadnej mierze nie dorównywał Skardze pod względem poziomu umysłowego ani zapewne także ideowego. Ale przenikliwe wieszczby jego, spisywane i ogłaszane przez Suchodolskiego, starostę kaniowskiego — zaiste w podziw wprawiają. Oto zwięzła treść jego głównej przepowiedni, dotyczącej przyszłości Polski.

„Trzy sępy, Polsko, Cię rozszarpią, dzieci Twe pójdą w niewolę na bezludzia dalekie lub na tułaczkę nędzną. Zjawi się wprawdzie wkrótce olbrzym na zachodzie, nadzieja zajaśnieje — lecz niebawem zgaśnie. Naród polski porwie się przeciw ciemniństwu, ale zabraknie mu ładu, zgody i człowieka. Więc znów upadnie i znów dzieci polskie pójdą w niewolę i na tułactwo. Aż nadejdzie czas, kiedy Anglik sygnie złotem, Francuz wesprze, muzułmanin konie napoi w Horyniu, Polacy tłumnie powstaną i walczyć będą z wrogami. Pierwszy raz zwyciężą w jarze Hańczarychy, drugi raz u mogił Piata i Perepiatychy, trzeci raz u siedmiu mogił, aż czwarte i ostateczne zwycięstwo odniosą między Rzeszczowem a Jańczą. Dniepr krwią się sfarbuje. Ale od Bałtyku do morza Czarnego nie będzie już Moskala na ziemi polskiej. I stanie Polska wielka i potężna po wiek wieków“.

Pomijając pewne szczegóły, zwłaszcza co do urocznych miejsc zwycięstw, podane z ludowym zamiłowaniem do drobnozgodowej konkretności cudownej, to przepowiednia zaiste zdumiewa tak trafną wróżbą rozbiorów i dziejów porozbiorowych Polski.

W innych wieszczbach swoich przepowiedział Wernyhora bunt kozackie t. zw. koliszczyżnę, dalej zjazd wrogich sąsiadów w Kaniowie i jego zgubne dla Polski następstwa.

Wernyhora pragnął ściślejszego współżycia i związku Ukrainy z Polską. To też budził zaciekle gniew wysłańców moskiewskich, podżegających do buntów przeciw Polsce oraz ich narzędzi powolnych — hajdamaków ukraińskich. Czyhali więc nań starym obyczajem moskiewskim i umyślili poprostu zgładzić starca, co życiem swym budził szacunek i zaufanie ludu a stanowił przeszkodę zamysłom i planom rosyjskim. Schronił się tedy na ostrów na rzece Rosi i tam następnie zamieszkał.

Ta postać niezwykła musiała uderzyć wyobraźnię Matejki, niezrównanego malarza naszej tragedji rozbiorowej i naszych nadziei wiecznie żywych na odzyskanie niepodległości. Zresztą i przez poezję również — Słowackiego i Wyspiańskiego — Wernyhora stał się w minionym okresie twórczości polskiej symbolem heroldów odrodzenia państwowego Polski.

Z całym swym przejęciem dramatycznym — mocnem i gorącym — stworzył Matejko tę grupę.

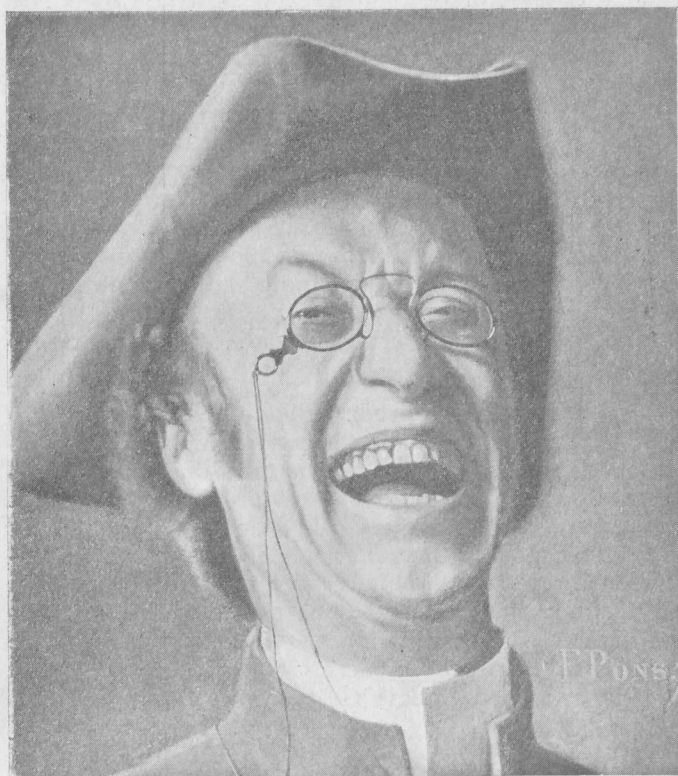
Wernyhora — główna i wybitnie ogniskowa postać obrazu — siedzi na jakimś kurhanie, jakich na Ukrainie pełno. Jest zmrok wieczorny. Księżyc już wypłynął na niebo, dodając scenie nastroju tajemniczego. W powietrzu unoszą się ciemne, lepkie nietoperze — odpychające zwiastuny klęsk i nieszczęść. Wernyhora — z włosami rozwianymi na wietrze, z twarzą natężoną i skupioną w wysiłku wieszczby, z oczyma, w dali utkwionymi. Jedną dłonią dotyka czoła, pełnego myśli wieszczych, prawie wznosił w górę ruchem kapłańskim — i prorokuje. Na piersiach ma zawieszony krzyż wschodni. U stóp jego leży lira, oznaka dziada lirnika ukraińskiego. Z jednej strony podtrzymuje go oburącz szlachcic, wyobraziciel Polski. Z drugiej zbliża się doń i aż wsparła na jego kolanach, po kobiecemu do głębi przejęta wieszczbą, młoda Ukrainka w typowym stroju kobiet tamtejszych. Dotyka ona prawą ręką i pociąga młodego wieśniaka ukraińskiego, który uważnie i chętnie podaje ucha słowom starca. Ale czy nie odciąga go druga niewiasta, ta która za nim stoi?

Zlewa, u stóp Wernyhory zasiadł Suchodolski i spisuje słowa wieszczce, aby je roznieść po Polsce. Za nim hajdamaka — bezmyślnie i krwawe narzędzie. Uległby może słowom szanownego dziada-lirnika, gdyby nie podszept, których stale słucha i którym łatwiej przecie uledez.

Właśnie na przedzie obrazu w dole na prawo siedzi pan duszy hajdamackiej — mnich prawosławny, w ciemnych szatach swoich i kołpaku. Jeden to z podżegaczy, agentów Moskwy, która ciemnym duchowieństwem prawosławnym posługiwała się w walce z Polską. W zmysłowej i nabręklej jego twarzy widzimy zatwardziałość: nie wzruszają go jak innych, słowa wieszczce. Słucha ich uważnie — ale po to tylko, aby z nich swój użytek zrobić. U stóp jego — nagromadzone noże; niezadługo będzie je świecił i rozdawał na rzeź Lachów, na chwałę imperatorów rosyjskich.

(Historja się zmienia i historja wciąż się powtarza: dziś na miejsce mnichów zaciekle działają na kresach różne „zakordoty“ i inne organizacje oraz ajenci bolszewicy, a miejsce hajdamaków starają się zająć bandy dywersyjne. Walka o wpływy na ziemiach leżących między rdzenną Polską a rdzenną Rosją wciąż jeszcze trwa między temi dwoma narodami. Tylko formy jej i natężenie się zmienia).

Wreszcie po lewej stronie umieścił Matejko chłopca polskiego. Wyobraża on, jak i w innych obrazach Matejki — przyszłe pokolenie, przyszłość i nadzieję Polski. Pacholę piastuje **ryngrał rycerski**.



## II. CZŁOWIEK, KTÓRY SIĘ ŚMIEJE

### III. PO OBIEDZIE.

Mamy tutaj dwa przepyszne studia śmiejących się twarzy. Bystra i drobiazgowa obserwacja łączy się w tych obrazach ze świetną zdolnością wyrazu. Aby to dostatecznie oce-



nić, zważmy, że twarze uchwycił artysta w ruchu mięśni, i to jedną z nich w ruchu krótkotrwałym a zmiennym. A jednak oddał nam ten wyraz tak, że zdaje nam się, iż widzimy właśnie, jak twarz drga i zmienia się w tym szczerym i szerokim śmiechu. Śmiała i pewna technika malarska dopełnia wartości tych małych arcydzieł.

# POWIEŚĆ — POEZJE — OPOWIADANIA

M. H. SZPYRKÓWNA.

## DJABLICZKA CÓRKA DJABLICY.

Z pośród wielu dziwnych opowiadań i zdarzeń jedno najdziwniejsze spotkało mię podczas wycieczki technicznej do krajów północnych, w której brałem udział.

Zdarzyło mi się odłączyć od mego towarzystwa dla zwiedzenia tartaków, które leżały w lesie, o jakie pięćdziesiąt kilometrów od miasta, gdzieśmy przybyli, w głąb kraju. Jechałem sam, przyglądając się obcej dla naszego oka, malowniczej i surowej naturze. Droga, zresztą porządna, nurkowała pomiędzy porośniętymi w jedlinę zboczami, zapadając się i wynurzając znów. Gdzie niegdzie sterczały nagie, szarzielone skały — jeszcze gdzie indziej czerwieniały muchomory dachów na zrzadka od siebie siedzących osiedlach ludzkich. Byli to przeważnie gospodarze-farmerzy, handlujący potrosze mleczywem, owczą wełną, a czasem towa-

rem leśnym. Mój woźnica znał język niemiecki, którym władałem nienajgorzej, i udzielał mi odpowiednich objaśnień co do mijanych okolic i ludzi.

Skręciliśmy właśnie za las, i nagle opodał, na pustej wydmie, szarej od szarych kamieni, na tle poszarpanych skał, spostrzegłem szczególną budowlę. Był to wielki szary drewniany dom pasterzy, długi i niezgrabny, stojący w zupełnej pustce, bez jakichkolwiek przybudówek lub nawet zwykłego płotu. Płot ów niegdyś być musiał, gdyż od drogi widniała niska sztachetowa bramka, zawieszona otworem na jedynym pozostałym słupku. Skrzypiała żałośnie i przeciągle, bujana przez wiatr.

— Kto tu mieszka? — zainteresowałem się mimowoli sierocą samotnią, na którą i mój woźnica patrzył właśnie również.

— Śmignął niechętnie w powietrzu batem. — Tu? A nikt! Mieszkali lat temu... wieleż? Będzie z dziesięć. Potem gospodarz umarł, a budynki rozebrali pod tartak, co to za górą.

— A dom stoi?

— Stać stoi. Kto go będzie chciał brać? Niema takiego w okolicy. Wiadomo: przeklęte miejsce!

Przeczulem jakąś tajemniczą historję i zacieka- wilem się naprawdę. Miejsce zresztą było wprost wymarzone do czegoś niesamowitego. Po kamienistych wydmach świszczał wiatr. Głucha ściana boru za domem huczała złowrogo i żałośnie. Na głucho zabite drzwi i okiennice sprawiały wrażenie więzienia.

Mój rozmówca zwolnił koniom i w milczeniu mijaliśmy niegościnnie osiedlisko. Nie, tubym sobie willi nie wybudował. On musiał myśleć podobnie, gdyż zasiadł się wygodniej, nacisnął czapę i pokręcił głową nieprzychylnie.

— Wesolo tu nigdy nie było, ale teraz... Chyba czarownicom na sabat tu się zbierać w sam raz!

— Nieprzyjemne miejsce.

— A tak, dobry panie: mus—to mus! Ja w tem tu osypisku przez ośm lat siedziałem, i dobra! Przy mnie się tu wszystkie dziwy działy, aż ot, dziś—masz!

Wskazał biczyskiem poza siebie, na samotne szare rumowisko. Miał najwidoczniejszą chętkę powiedzieć coś więcej. Wyraziłem najskwapliwszą chęć do wysłuchania historii, która obiecywała być długa, i niepowszednią. Przesiedliśmy się tak, aby mógł być obok mnie, poczem zaczął opowiadać swoje dzieje, które przytaczam możliwie najdokładniej.

— Pan się dziwi, że tu tak niesamowicie koło tego domu! A jakżeby inaczej być mogło? Gdzie czart rządzi, tam ślad pazurów zostawia. Od tego pazura zginał i mój były gospodarz, do którego się był podówczas zgodził na robotnika, i cały dobytek poszedł do djabła. Tylko że—prawdę powiedzieć, nie djabeł to był, a właśnie—djablica!

Nie: to nie mój wymysł. Inaczej jej ani w całej okolicy nikt nie nazywał. A dlaczego się zgodził? Bo nc jeszcze wtedy nie było wiadomo: złe poszło dopiero od chwili kiedy umarła. Jakto, kto była? Albożem nie powiedział! Ano, wiadomo: gospodyni! Żona mego pracodawcy, chcę rzec.

Żeby po porządku, było to tak. Przywiózł ją pięknego poranku z miasta, i już. Skąd ją tam wyszukał? Bóg raczy wiedzieć! Jeździł tam z towarami i hulął niezgorzej; po takich hulankach z różnymi się ludźmi człowiek styka. To tylko pewne, że do naszych kobiet niepodobna była zgola. Ha! Alboż to miała jakie pojęcie o robieniu serów czy narządzaniu ryb?.. A może, pan sądzi, że potrafiła uprząść wełnę? Śmieję się pan z tego! Jedno co umiała, to zasiąść do klawikordu i wygrywać romanse, raz tęskne, raz ogniste, a piała tak, aż się rozlegało po lesie. Nie głucho tu wtedy było na tem pustkowiu, hej! Nie! Nawet klomby od ganku pozaprowadzała i póty się upierała, aż jej sprowadził na środek piękną szklaną kulę, co się mieniła raz niebiesko, raz srebrnie. Dogadzał jej, no bo co piękna była, to była. Ale i ubierała się!.. Bez przesady, nasze kobiety wstydzilyby się pokazać mężczyźnie z takimi gołemi plecami i piersiami, jak ona. Ludzie opowiadali, że w mieście była taka, co to śpiewa po szyn-

kach, a potem zbiera co łaska. Tak pewnie i było. Ale i to pewne, że prócz tego nieinaczej, tylko musiała być czarownicą. Jakżeby inaczej taka przyczarowała gospodarza tak, że chodził jak błędny po każdym powrocie z miasta, aż ją wreszcie przywiózł? Albo żeby dał kobiecie przez Boży dzień nic, tylko brząkać na klawikordzie, znosić ziele i śpiewać piosenki, jak jakiej zagranicznej letniczce, co to na sezon przyjedzie i grubo za to zapłaci! A on nic. W zimie co innego znowu: a to łyżwy, a to żaglem po lodzie, a to wyścigi narciarskie! Gospodarstwo kulało, jak chroma klacz: ona nic! Przepadnij wszystko, byle jej dogodzić! I tak tego było, dopóki się urodziła mała. Wtedy zaczęło się piekło.

A tak: właśnie przez dziecko. I to, trzeba powiedzieć, nie zaraz. Mawiał wprawdzie nieraz, że córkę mu strzyga solą posypała, bo taka biała, jak niedopieczone ciasto. On bo był człowiek sobie tegi, chwata mężczyzna, brunet, do wypitki i do wybitki, a i ona—czysta cyganka! Wysoka, ścigła, usta jak maki, cera śniada, a oczy! płomień! No a mała, co tu mówić: ani w matkę, ani w ojca. Chuchrowate to to było, bezbarwne, i całe na szaro: oczy, włosy, cera—jakby się z tych skał czy mchów, nie z ciała urodziła. No i stąd właśnie całe podejrzenie się zakradło.

Otóż to właśnie, że poszlaki były: na tego Szweda, co to się z nim gospodarz, jeszcze za narzeczeńskich czasów, tak o nią posiekał, żeśmy go przez dwa tygodnie sadłem i kaszą okładali. Mówiono, że tamci się jeszcze dawniej ze sobą nienajgorzej znali, ale albo to człowiek zakochany czego słucha, prócz swego duru? Wziął z nią ślub i już, a dopiero po urodzeniu się tego króliczka zaczęło mu to a owo po głowie chodzić. A kiedy już w mieście zastał ją z tym Szwedem i z dziewczynką w cukierni, zrobił się skandal pierwszej klasy. Ułagodziła go jakoś po swojemu, najwięcej tem, że się z jego podejrzeń wysmiewała — a śmiech miała urągliwy, perlisty, zaczepny — iście djabelski śmiech! Ale taki zadra w nim już tkwiła, i jątrzyła, i ogniła się coraz bardziej, bo gospodarz się stał nieswój. Krewki był człowiek, impetyk: a tu chodzi ponuro, w sobie wszystko dusi! Dlatego jak przyszło do wybuchu, temci gorzej! Czems mu tam mała nie dogodziła, on na nią huknął, a matka z pięściami, że jej dziecko przestrasza chamskim krzykiem. On, rzecz prosta, wpadł w pasję, i do niej! Kiedy to twoje, powiada, dziecko, to niech mi się tu na oczach nie pęta! Pisz, powiada, do tamtego gacha, niech przyjeżdża i swojego zdechlaka zabiera, bym jej czego gorszego nie wyrządził!—On do niej z gębą, ona go w łeb. I poszło! Co się działo, Sodoma i Gomora. Do tego doszło, że się zamykała z dziewczynką w sypialni, bo tam były żelazne skoble, a pan się dobijał pięściami, aż się dom trząsał!.. Raz, jak się wdarł przez okno — bo już podówczas zaczął tego pić co wieczór—Chryste Panie! Myśleliśmy, że już po niej. Ale gdzie! W jednej chustce nocą z dzieckiem uciekła i na probostwo, pięć kilometrów lasem, poleciała. Proboszcz się wdawał, gmina przekładała, bo alboż to podobne rzeczy? I nic! Niby to się zgodzą, ucichnie na tydzień—dwa—i znowu piekło! Takie było życie, że gdyby nie mus, prochy człowiek otrząsnął a precz szedł, byle na to nie patrzeć!

No! Pan sam wie, jaka męska pociecha? Gorzałka. To też gospodarz zaczął zalewać robaka co się zowie. Zaraz z wieczora zamknie się w jadalni, każe nakrajać talerz.chleba.plasterkami, posypie.solą., postawi flaszę—i wszyscy won! Nazajutrz—zwierz!.. Rozsiekałby człowieka jak drzazgę, gdyby się podwinął ze złej ręki. Tylko że po wypadku z pastuszką, każdy się wystrzeżał. Był taki pastuszek znajda, co go... Et! Mniejsza. Obaj stoją przed Bogiem, a tam już każdemu, co się należy, wypłaca.

Potem, rzecz prosta—poszły dziewczęta. Zaczął godzić coraz nowe: a to do kuchni, a to do wełny, a to do krów... korale, czerwone wstążki, pierniki—wiadomo! Ona patrzy—nic; tylko oczy łyskają, jak te żule. Pobladła już wtedy była bardzo i pierś jej się zakłęsała: pokaszliwała krwią. Tylko te oczy jeszcze bardziej gorzały. Aż razu pewnego w nocy wrzask!... Zaszła ich i oblała dziewczkę wrzątkiem. On do niej z po-grzebaczem: ona za siekiere!... Wściekła się wówczas, niczem wilczyca w boru. A mała—niebardzo już była mała, szło jej na siódmy rok—to nic, tylko się w takich awanturach milczała i kuliła pod meblami, jak ten psiak, co czuje hycła. Nie w szczęśliwą godzinę się narodziła, nie!...

Hm! Pan powiada: biedactwo. Pewnie że biedactwo: to swoją drogą. Ale że była z niej też mała jaszczurka, to była, tu niema gadania. To było ziółko! Nie bała się, powiedzmy, wyszukać w skałach skor-pjona. byle go wpuścić ojcu do łóżka, kiedy się dobrze spał. Albo nalać mu atramentu do zupy z czerniny, albo zaszyć mu w serdak skrzydło nietoperza, bo takiego człowieka ma niby spotkać zła śmierć. Ho ho! Miała ona niezgorsze pazurki, mała djabliczka! I złapać jej było nie sposób. Chowała się za matkę, jak szczenie za wilczycę, i dobra! No i było tego przez siedem lat.

Czy umarła? Hm. Tak sobie! O tyle o ile. Umiera to człowiek w końcu zawsze sam, ale nieraz mu ludzie do tego dopomogą. Poszło o rudą Marię, właściwie o jej siostrę, bo Marja wtedy u nas nie służyła. Zato jej siostra już się była dochowała dwuletniego chłopaka. Chłopiec był na schwał: zdrów, zuch, tęgi. i do gospodarza kropka w kropkę podobny. Jego krew! No, zdarzyło się też raz, że gospodarz na ten temat—podpity był to prawda!—ale przeholował.— Kiedy tak, powiada, to i ja mam rade! Nie mvsle podrzuteków po miejskich włóczęgach hodować! Będzie tu odtąd Joasia—to niby ta dziewczyna—gospodarzyć, a jej syn będzie moim dziedzicem! Komu to nie w smak—won za drzwi i do diabła!—

A tu ona, jak dziś pamiętam. Wysoka, szczuła. w czerwonej sukni, medaljon z aksamitką na szyi, a

oczy!... We śnie się przysnía, to się przeżegnać i tyle. —Czy tak?...—powiada.—Joasia? Dziedziczyć? A tego chcesz?... Nóż kuchenny ze stołu w rękę i do niego! On ją za włosy i o ziemię! Zanimesmy dopadli, już była pół trup. Głowę sobie o kant rozcięła, padając, a on dołożył. Oderwaliśmy, zamknęliśmy, posłaliśmy po księdza. Tydzień jeszcze przeciągnęła. Brr! Był czas!..

On? Jakby osowiał. Od rana szedł w las, tam za dom, i nie wracał aż na wieczór. Obrósł, poczerniał, schudł. I do nikogo nic! Siądzie pod sosną na pniu i patrzy w ziemię: Nikt się do niego podstąpić nie ważył, wiadomo. Wtedy to ruda Marja — bo Joasia ze strachu zbiegła do ojców i stamtąd siostrę przysłała na zastępstwo—wtedy ruda Marja wzięła raz dwojaki, naszykowała jedzenie i powiedziała:

— Ja pójdę! Ginać ma człowiek niczem zwierz, czy jak?...

I poszła. Jak tam sobie radziła—niewiadomo. No: piękna była dziewczka: krew i mleko, a włosy jak słońce! Dość, że gospodarz obiad zjadł, i odtąd nosiła mu już codzien. Od tego też czasu wszystkie poszły precz do roboty, a Marja była jedna za gospodynię.

A gospodyni tymczasem umierała. Była przy niej ciotka proboszcza, bo się na leku dobrze zna, i mało kogo do jej pokoju puszczała. Myślałem, że już gospodyni nie zobaczę, aż w trumnie. Ale nie! Na dzień przed śmiercią coś ją widać tknęło, bo kazała nas wszystkich przywołać do siebie, kto żyw. Jezu Panie! Nie zostało z niej jak tylko oczy, ale zato oczy gorzały jak piekielne zarzewie. Siedziała oparta na poduszkach, a dziewczynkę trzymała przed sobą, obok łóżka. Położyła jej ręce na ramionach, odetchnęła raz i drugi, żeby nabrać sił, otarła krew z ust i przeliczyła nas wszystkich oczyma, czy kogo nie brak.

— Słuchajcie i zapamiętajcie!... — powiada. — Wiem, że się tego zbója boicie (to mówiła o gospodarzu) i wiem, że z was żadna mi dopomóc, w czym chcę, nie potrafi. Nie trzeba! Poradzę sama. Bo to wam pewnie powiadam: dziecka i po śmierci skrzywdzić nie pozwolę! Przysięgam w obliczu śmierci, że do tego, kto jej będzie chciał krzywdę zrobić, przyjdę, z nieba czy z piekła, zarówno!.. i temi oto rękami (wyciągnęła ku nam ręce, a były jak szpony trupa)—zaduszę!.. Słyszeliście?.. Zaduszę!.. A teraz idźcie precz i niech ten dom będzie po trzykroć przeklęty!...

Straszne, nan mówi? Straszniejsze był potem. Nie mówię o babskich plotkach, że to niby—bo nazajutrz skonała—zęby jej w trumnie kłapały, a oczy świeciły jak strzydze. Ale przekleństwo, jakie rzuciła na dom, zostało: to był dom przeklęty, panię! I istotnie, potrzykroć przeklęty!

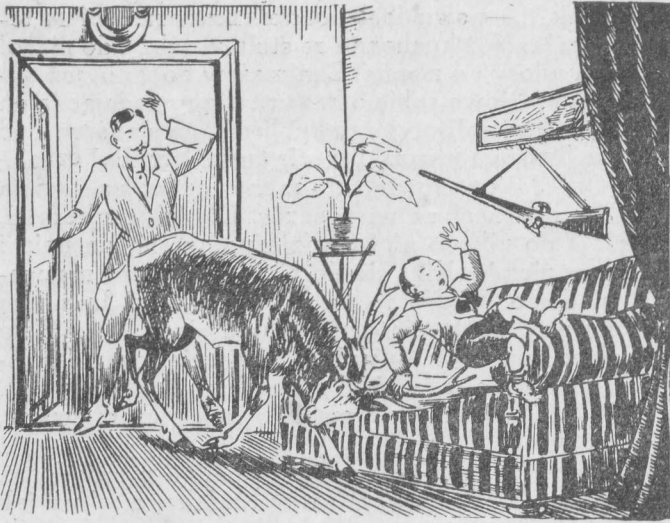
CIĄG DAJSZY NASTĄPI.

Z opowiadań p. H. JANKOWSKIEJ.

## J A S I O.

**B**ył to jelen. Dwaj znajomi panowie przywieźli go do dworu w Bandzerówce na Wołyniu w pow. ostroskim i podarowali pani domu. Był wówczas jeszcze maleń-

kim jelenkiem; miał najwyżej 3 miesiące. Owi panowie, co zeń zrobili podarek, sami dostali go od leśnika, ten zaś schwytał go przypadkiem w lesie i trzymał już około miesiąca.



...skoczył ze złością i zrcił go rogami.

Gdyby kogoś interesowała data tego, nie nadzwyczajnego zresztą wypadku, to możemy powiedzieć, że było to jakieś 40 lat temu.

Drżący, wystraszony, poglądał wokół, niespokojnie rzucając ślepkami. Lecz z wolna nabrał zaufania do nowego środowiska i oswoił się z ludźmi zupełnie. Przywykł zwłaszcza do swej pani i opiekunki.

Rychło wyrósł na pięknego kozła.

Niewiadomo skąd, przyłgnęło doń imię „Jasio”.

Jaś dostał posłanie na starej kanapie w przedpokoju. Na niej sypiał i legiwał. Przywykł do niej mocno, jak zwierzę każde przywyka do swego legowiska. Nie pozwalał na niej nikomu siadać. Raz przyjechał w goście do dworu w Bandzerówce mały chłopiec. Nic nie wiedząc o zwyczajach i upodobaniach kozła, najspokojniej w świecie przysiadł sobie na jego kanapie. Wtem wchodzi Jasio. Zoczywszy malca na swem legowisku, skoczył ze złością i zrcił go rogami. Byłbygo może jeszcze mocniej poturbował, gdyby na krzyk napadniętego nie pospieszono czempredziej z pomocą. Tylko pani Jasia stanowiła wyjątek—ona jedna jedyna, gdy zechciała, mogła swobodnie siadać na Jasiowej kanapie.

Do pani bardzo był przywiązany. Nieomylnie znał jej głos. Nie na każde biegł wezwane. Lecz gdy usłyszał, że to ona zawołała „Jasiu!”—to pędził, sadząc przez wszystkie przeszkody. Choć lubiał figle i psoty, to gdy ona rzekła „nie rusz”—nie ruszał ofiary, wybranej na przedmiot figla—czy to osoba była, czy rzecz.

Nawzajem i pani mocno polubiła Jasia. Wszyscy niemal znajomi pragnęli go mieć, wszyscy oń się przymawiali i prosili—wszystkich jednak spotykała odmowa. Bo i jakże pozbyć się takiego mądrego, oswojonego jelonka. A przytem tak figlarnego i zabawnego. Figlami i psotami swemi Jaś umarłego w grobieby poruszył.

Najprzód, gdy był jeszcze mały, zamykano go, aby sam nie wychodził. Czyniono to głównie z obawy przed psami. Zczasem jednak psy go poznały i także się z nim oswoiły; więc chodził już sobie spokojnie po dworze.

Wielką okazywał chętkę do zaczepek i bitek z ludźmi. Podobno gdy był mały, psuli go chłopcy, mocując się z nim i baraszkując. Ale pewnie i takby objawiły się w nim te zakusy, tak bardzo kozle. Zaczepiał tedy stale ludzi po drogach. Gdy zobaczył, że ktoś idzie drogą, to odprowadzał go czas jakiś, a potem skoczył i bódł rogami. Poturbował niejednego. Później mieszkańcy okoliczni tak się już z tem liczyli, że gdy kto miał iść koło dworu, to wybierał się z kijem na obronę przed kozłem. Zresztą nie skrzywdził nikogo nigdy bardzo boleśnie.

Ślicznie wchodził do pokoju—zgrabnie i jakby z pewną godnością, śmiało patrząc na ludzi swemi wyśadzonemi ślepkami, czystymi i błyszczącemi.

Był bardzo ciekawy. Więc naprzykład podchodził zawsze do stołu i oglądał, co też tam stoi. Odpędzono go nieraz, a wtedy się obrażał, nastawiał rogi—i już gotów do bójki.

Psoty jego były niezliczone, a wszystkie wypływały z kozłej natury—przekornej, zawadjackiej albo znów ciekawej i wścibskiej.

Wynajdywał sobie różne zabawy. Ale jedną z najmilszych była zabawa z samowarem, a raczej z wodą z samowaru. Oto ujmował kran zębami, odkręcał go, a potem, przechyliwszy leb na bok, przyglądał się, jak woda leci. Wogóle lubiał chlupać się w wodzie i patrzeć, jak gdzieś się woda leje, przelewa, rozlewa. Gdy znalazł miskę z wodą, to wkładał pyszczek, chlupał się i pryskał, nakoniec zazwyczaj wodę wylewał. Albo też odrazu przewracał miskę z wodą i z lubością przyglądał się, jak srebrna struga rozlewała się po podłodze.

Inna jego zabawa była już o wiele kosztowniejsza i daleko trudniejsza do uznania. Mianowicie stale wojował z lustrami. Gdy ujrzał lustro, to nie wiadomo, czy dlatego że widział tam własne odbicie, więc drugiego jelenia, czy też, że mu błyszczało—dość że pochylał rogi i z rozpędem atakował zwierciadło. Potłukł tak kilka luster. Potem już go pilnowano, gdy się zbliżał tam, gdzie stały lustra; a lustra dobrze obstawiano.

Najchętniej psocił się kobietom. Gdy zobaczył którą, to zachodził z tyłu i rogami zarzucał spódnice na plecy lub na głowę. Zwłaszcza wtedy czynił to z największym rozpędem, gdy dostrzegł, że kobieta ma ręce zajęte, np. gdy służąca niosła na stół talerze. Kobiety więc, gdy niosły coś cięższego w obu rękach, a spostrzegły Jasia koło siebie, to czempredziej przysiadły. Ale był też łakomy. Więc chętnie przychodził do kuchni, wypatrując czego smacznego. A wtedy zachowywał się dyplomatycznie: nic nie robił dziewczętom tam pracującym. Kiedy go odpędzały, to się opierał i bronił, ale nie zaczepiał i nie bił. Dopiero gdy która bez ceremonji chwyciła za miotłę, to po swojemu rogi w ruch puszczał. Kończyło się zwykle na tem, że go nareszcie całkiem wygniały. Wtedy zasadzał się na czatach blisko kuchni i mścił się na dziewczętach, gdy która wyszła, bodąc lub zarzucając spódnice na plecy.

Najzabawniejsza z najzabawniejszych przygód z Jasiem zdarzyła się raz w lesie na rozstajach.

Chodził bowiem sobie swobodnie po polach, drogach, a nawet po lasach. Otóż pewnego razu blisko rozstajnych dróg, na łące obok lasu, gdzie schodziły

się trzy granice, biedna wdowa zbierała zioła w dąbrowie. Nie знаła naszego kozła, nie wiedziała wcale o nim. A Jasio, spacerując po polach, tam właśnie zawędrował. Ujrawszy niewiastę że zgięta, coś zbiera po ziemi, zaszedł swym zwyczajem z tyłu; jednak nie zarzucił tym razem spódnicy na plecy, tylko uderzył łbem i przewrócił babę. Baba obejrzała się przerażona i — „Hospody pomyśluj!” Kozioł nic; kręci tylko łbem zlekka i patrzy na wystraszoną. Więc baba wstała, znów się nachyliła i zbiera dalej. Jak tylko kozioł to ujrzał, buch w babę — i drugi raz przewraca. Póki baba leży, kozioł siedzi i pilnuje, ale jak tylko wstała, znów w nią bez pardonu. Ponieważ to na rozstaju, więc babie, jak objawienie, błysła myśl nowa: „Czort w kozła wcielony”. Wystraszona tedy i zgnębiona, klęka przed kozłem, płacze i błaga. Mówi temi mniej więcej słowy: „Jestem biedna wdowa, mam małe dzieci, zmiłuj się nademną. Przyszłam tu zioła zbierać. Pozwól mi te zioła zabrać. Nikomu niczego złego nie zrobiłam. Jestem ot z tamtej wioski...” Ale skutkuje ta przemowa biedaczki, póki baba klęczy — skoro tylko powstała i pochyliła się, by dalej zbierać, to nasz kozioł swoje i baba znów leży jak długi. Wielce strapiona i wystraszona ogromnie, rzuciła już zioła, uzbierane w tak zaczarowanym miejscu i byłaby niechybnie uciekła. Ale patrzył na to wszystko pastuch, który pasł bydło w pobliżu. Śmiał się i śmiał serdecznie, aż widząc, że kozioł dręczy i męczy babę już zanadto, podszedł, zawołał na kozła, zabrał go, a babę uspokoił.

Zapędzał się Jaś nieraz daleko. Jak bardzo jednak był oswojony z ludźmi, to dowód, że zabłądziwszy raz do wsi sąsiedniej Siekierzyniec, wszedł sam do izby, do chłopów. Ci znali dobrze naszego Jasia; więc związali go i odstawili do Bandzerówki. Zaniepokojona pani z radością powitała marnotrawnego ulubieńca.

Z wycieczek do lasu sprowadzał niekiedy ze sobą sarenki do parku dworskiego. Podchodziły blisko tuż pod dom. Widać było, jak wychylały się z pośród drzew najbliższych i rozglądały bystreimi ślepkami po dziedzińcu. Jaś szedł dalej, wchodził już na werandę, oglądał się za towarzyszkami, czekał. Lecz one tylko ciągle zaglądały ciekawie a ostrożnie, nie posuwając się poza ścianę drzew. Więc wracał na środek



...klęka przed kozłem, płacze i błaga.

dziedzińca, znów wabił, tupał niecierpliwie nogą — chciał najwidoczniej zwabić je do swego przedpokoju. Atoli dzikie jego przyjaciółki przygodne dalej już za nic posunąć się nie chciały i uciekały po pewnym czasie — lada czem spłoszone. Nigdy żadnej nie zdołał zwabić do mieszkania.

Lubił przestawać z bydłem, zwłaszcza gdy się pasło. Chodził do niego na pastwisko, wmięszął się między nie i długo razem przebywał w przyjaźni stacecznej. Nie bił się nigdy z bydłem, i tak samo jego bydło nigdy nie ruszało.

Lubił także zaglądać na przykład do śpichrza. Udawał tam, że je, czy też próbował jeść — to żyto, to groch.

Tak to jeleni oswojony przebył w Bandzerówce trzy lata, wyprawiając ucieszne psoty i żyjąc z ludźmi w przyjaźni, jak za rajskich czasów. I żyłby jeszcze długo, gdyby nie wroga ręka człowieka przybyła. Raz, gdy biegł drogą, zastrzelił go jakiś „sprawnik”, co święcie nastał w te okolice i nie znał wcale naszego Jasia.

Żal i płacz był po nim niemały.

R.

IWAN KRASKO.

## Z poezji słowackiej.

Ivan Krasko (poseł Jan Botto, wiceprezydent czesko-słowackiego Zgromadzenia Narodowego w Pradze) ur. w r. 1876 w Lukowisztiu, w żupanstwie gemerskiem, na Słowacyzynie, jeden z najwybitniejszych poetów słowackich doby obecnej. Wydał „Nox et solitudo” w r. 1909 i „Wiersze” w r. 1912.

W strofach jego — nader rytmicznych — odnajdujemy typowe znamiona twórczości słowackiej: tkliwy smutek i żal uciśnionego ludu.

### Ojcowska rola.

*Spokojny wieczór sptywał na wzgórza,  
na siwe pola.  
W ostatniej tunie staro-ojcowska  
gorzała rola.  
Z obczyzny łutacz trwożliwą stopą  
wkraczałem na nią.  
Stonko jak korab tonęło wdali,  
pod kwarawą płanią,*

Na mokrej grudzie, pod moją nogą  
   trzaska ścierń sucha.  
 Zda się, że ze mną ktoś obok kroczy —  
   żał, prośba głucha,  
 W spojrzeniu słodkiem wyrzut i skarga  
   krótka i niema:  
 — Czemuś poniechał ojcowski zagon,  
   obronicy niema!

Tulacz z obczyzny statem pod gruszą  
   spróchniałą zgoła.  
 Zagon poddanych kwią przepojony  
   dodom mnie woła ..  
 A w sercu pojęk roboczych ojców  
   dojrzał w nasienie...  
 Wyrosnąż jeszcze zębiska smocze  
   z poddanych ziemie?

Cały dzień stonko, a przecie mokra  
   ojcowska rola.  
 Stulecia ciekły tży niewolników  
   na nasze pola,  
 Stulecia ciekły — złączone wiecznie  
   z poddanych rolą,  
 Darmo je suszy płonące stonko,  
   dziś jeszcze bolą.

Tłumaczył F. Gwiżdż.

## JERZY ŁUŻYC.

### Robinson Capryjski.

Niestety, znalazł się i taki. I to w osobie niżej podpisanego, który przesiedział nago na skalistym szczycie małej wyspy noc całą, mając tuż, niejako pod nosem w dole luksusowe hotele i restauracje. Opinja jest jak kobieta. Niechby Capri na 24 g.stało się bezludną wyspą i niechby jeszcze w dole podemną rozlegał się ryk dzikich zwierząt—wszystko by było w opinii „all right“, jak mówi z dumą mój przyjaciel, rybak Giovanni. A przecie siedzieć goło na cyplu całą noc i dać się ciąć przez podłe „zanzary“ (moskity) do dziesiątej krwi jest niemniejszym bohaterstwem.

Ale do rzeczy. Dnia krytycznego o g. 6-ej rano, przełknawszy tylko lekkie pierwsze śniadanie, usiadłem do zabawnego kajaczku, narządzonego przez Giovanni'ego. Kto nie widział tych kajaczków tutejszych, fabrykowanych na całą zatokę Neapolitańską i półwysp Sorrentyjski przez znakomitego mistrza—„Padrone Emilio“ w Sorrento—ten nie ma pojęcia o ich lekkości i wywrotności. Łódeczka taka—„sandolino“ tutaj zwana, jest cała hermetycznie kryta, w środku tylko zawierając miejsce dla umieszczenia zgiętych nóg wioslarza, który wiosłuje, siedząc na dnie. Dwie te hermetyczne komory, stanowiące przód i tył łódki, nie pozwalają jej zatonać, chociażby wydrążenie środkowe całkowiec napełniło się wodą. Stąd „sandolino“ jest ulubioną łódeczką dla trójków pływackich koło plaży i dziesiątki kąpielowiczów wyprawia codzień z nimi niezliczone hopki, gramoląc się i spadając z nich powielekroć. Na dłuższe spacery nie są używane wcale.

Ze jednak zamierzałem okrążyć wyspę i dostać się na północną stronę, a morze było spokojne, zdecydowałem się na „sandolino“, a to ze względu na nadzwyczajną szybkość i lekkość tych łódek. Nie liczyłem się z tem, że jechać wzdłuż Capri, to tak, jakby się jechało na pełnym oceanie. Skaliste bowiem brzegi wyspy, sterczące na całym jej obwodzie pionowo z

wody na kilkaset metrów wzwyz, nie pozwalają nigdzie barki zaciągnąć na brzeg, z wyjątkiem Piccola Marina na południu i Grande Marina na północy. Jechałem właśnie z pierwszej na drugą.

Droga narazie była przesłizniona i śmiałem się z przestróg Giovanni'ego. Jadąc na wschód wyspy, miałem najpiękniejszą jej część, poszarpaną i obfitującą w zakręty, niespodzianie oczom żeglarza odsłaniającą cuda Golfu Neapolitańskiego. Zwolna wyłoniły się skały Sorrento, potem Wezuwusz, jak zwykle, dymiący kitą pary, po którym łążą ciężko rozleniwione białe chmury, wreszcie daleki Neapol. Przy przepływanym między Faraglioniami, dwoma olbrzymimi skałami, sterczącymi pod przyładkiem Fragara na 88 metrów z wody, schwycił mię na swój grzbiet jeden i drugi wał morski. Parę jednak uderzeń napłask wiosłem dwupiórem na prawo i lewo jakoś salwowało równowagę na okamgnienie, którego „Faraglioni“ potrzebowały, by wypłuć mię na drugą stronę. Ten wir między Faraglioniami już mię zaniepokoił; nigdy nie był tak silny. Gdy je przebyłem, skonstatowałem, że stan morza szybko i znacznie się pogarsza. „Sirocco“ który dał noc całą od przeciwległej Afryki, każąc ludziom zalewać się potem, ustał znowu. Szczęśliwie, byłem już na samym zakręcie. Wpłynąłem na wschodni bok wyspy, w łuk, który opiekuńczo tworzy przyładek del Massullo. Morze i tu wprawdzie było „un poco gattivo“ (nieco gniewne), ale możliwe. Oto już przesunąłem się u podnóża willi Tyberjusza, wzniesionej na wysokości 334 metrów. Ze szczytu tej wysokości, z prostopadłej, jak cały brzeg capryjski, ściany, groźny tyran strącać kazał w tem miejscu w morze swe ofiary.

Za willą, okrążając Lo Capo, wpłynąłem na południowe wody wyspy, odgrodziwszy się w ten sposób od sirocca masą czerwonych skał Capri. Znalazłem się teraz na tafli przejrzystej i przeczystej wody, takiej, jaka tylko pono w tej części morza Śród-

ziemnego być może. Nie będę opisywał tych cudowności, które tysiącokrotnie były opiewane przez najętsze pióra świata (u nas m. in. Konopnicka). Woda Capri ma to do siebie, że wskutek nadzwyczajnej swojej klarowności, stwarza złudzenia optyczne, zbliżając dno do powierzchni. Pierwszego dnia swego przybycia na Capri, siedziałem na złomie skalnym, wystającym na trzy metry z morza. Tuż pod powierzchnią wody widać było drugą skałę. Drobne rybki uwijały się po płytkiej wodzie, która drgać się zdawała cienką warstwą na skalistym podbiciu, niby srebrzyste szkło. Nagle jeden z Włochów, siedzących na skałce, rzucił się z jej najwyższego cypla głową w dół—na ową skałę podwodną. Zdrętwiałem. Kiedy przecież zsunąłem się w wodę, stopa moja nie znalazła gruntu; skała była dobrych kilka metrów pod powierzchnią.

Teraz więc, płynąc po tafli wodnej, gładkiej niby lustro, widziałem jasno dno, złożone z głazów, obrosłych mchem morskim. Najmniejsze żdźbło, każde zwierzątko pełzające po dnie było nad wyraz widoczne. Ta duża głębia, przesuwająca się „ad oculos” przed oczami w całej swojej krasie, wywołuje, gdy w nią dłużej patrzeć, lekki zawrót głowy. Musiałem oderwać wzrok od niej i uderzeniem wiosła wyrównać bieg swego „sandolino”.

Podróż wzdłuż całej północnej strony była więc już tylko przyjemną przejażdżką niby po tafli stawu. Cichym ślizgiem minął kajak drzemiące jeszcze kąpiele „Marina Grande” i przemknął koło zatopionych w wodzie kąpeli Tyberjusza. Zbudowane ongiś nad wodą, podzieliły los wyspy, która w ciągu stuleci przechylała się z południowej strony na północną. Stąd na południu kilka metrów nad wodą wznosi się pas nadbrzeżnej skały, odszlifowany ongiś przez wodę, dźwignięty odchyleniem wyspy następnie w górę, na południu zaś wejścia do grot znizły się tuż nad powierzchnią, a monumentalne kąpiele Tyberjusza, pograżały się w wodę i tkwią ciche i tajemnicze, niby by zakłete w jej lazurze przejrzystym.

Dalej i dalej mknie kajak. Oto cypel samotnej skały, niby głowa cukru. Zamku ruiny na nim—zamku dumnego Barbarossy—pirata, co tu ongiś na Capri gniazdo nieprzystępne sobie uwił i kpił z Królestwa Obojga Sycylii i Neapolu.

Wreszcie Grota Lazurowa. Mistyczne błyski srebrowa, roztopionego w szafirze. Ciężki warkot turystycznego parowca. I długi sznur łodzi, krążących niby ptactwo między nim a grota.

Wracam za parowcem. O 9-ej jestem znów w Marina Grande. Sympatyczny malarz panoramy Racławickiej p. Jan Styka wita mię z pomostu tubalnym głosem. Łapie mię nietyle za guzik, którego niema, ile za sznureczek u spodenek kąpielowych i wykrzykuje coś swoim tubalnym głosem, ciągnie zaś ku memu niepokojowi i przerażeniu stadka chudych i kości- stych miss w ciemnych okularach.

Ale jest już 2½. Czas na obiad do swego Marina Piccolo. Głodny jestem jak wilk. Wyrrywam się z rąk mistrza, płacę jedną „memcia” (napiwek) za szklanek wody, drugą za podtrzymanie przy schodzeniu ze schodków, trzecią za wciągnięcie łódki, czwartą za jej przytrzymanie, piątą za wesołe „bon jour”, szóstą za zepchnięcie sondolina, ósmą...—i jadę, wreszcie jadę.

Nie śpiewam wprawdzie „płyn barko moja” — popierwsze dlatego, że jestem urzędnikiem V stopnia służbowego, po drugie, że jestem głodny, po trzecie, że wszystkie szwabki na Capri się wydzierają „St. Lucia”, po czwarte, że nie znam słów, po piąte, że nie umiem śpiewać, po szóste...—ale w każdym razie muszę stwierdzić, że „pogoda sprzyja”.

Gdy jednak dostaję się na wschodnią część wyspy, jest gorzej. Buja mnie, dmie i pryska w twarz. Teraz jeśli nie śpiewam okolicznościowo „bujaj mnie Antek, psiajucha”, to poprostu, bo po pierwsze, po drugie i po trzecie mam pietra. Płynąć, czy nie płynąć dalej? Przypomina mi się anegdota białoruska: chłop na jarmarku kupił różowe mydło w formie gwiazdki, nie wiedząc, co to właściwie jest. Wraca z jarmarku i gryzie mydło, aż piana się toczy. Krzywi się, ale je. „Oj, Iwan, i szto wi hetta robicio?”—przysiada w zdumieniu napotkany żydek—„ciż hetta nia miło”.—Miło, nie miło (mydło nie mydło)—odpowiada chłop— a kupił tak jesz (jakeś kupił, to jedz).

„Kupił tak jesz”...jazda więc naprzód! Zresztą to tu tylko tak wieje. Zaraz okrążę przylądek del Massulo, dostanę się na południową stronę wyspy i ucichnie. Trzeba tylko trzymać się dalej od brzegu, bo tu fala największa.

...Tymczasem skorom tylko okrążył del Massulo, prasał we mnie złośliwy s i r o c c o. Nie sunie on po morzu grzmących wałów. Przeciwnie. Morze, dalej od brzegu jest ciche i gładka jego powierzchnia po której ślizga się s i r o c c o faluje śmiertelnie milcząca, niby na miejscu jednostajny ruch wykonującą falą. Łódź to znajduje się na szczycie takiej fali, mając pod sobą wirchy innych fal niższych, niby nieskończone łańcuchy górskich grzebieni, to znów jest na samym dnie leja, niby doliny, a wkoło w górę rosną, niby napięta powłoka połyskliwej materji, garby zmętniałej, niby ściętej w odwar cieczy.

Na pierwszej zaraz jeździe pod górę sandolino czerpnęło wody obficie. Spadając w następnym okamgnieniu w dół, wpruło się w odwar wodny, który je zalał do szczętu. Kamery wprawdzie nie dały łodzi tonąć, ale równowaga została stracona. Parę rozpaczliwych chybięć w boki, parę gorączkowych uderzeń wiosła łapiących równowagę—i łódź machnęła s a l t o m o r t a l e. Płynęliśmy teraz w wodzie: ja, moja czapeczka, wiosło i wreszcie sandolino, błyskając w wodzie ku niebu pięknie malowanym na niebiesko brzuchem. Wszystko to niosła ku niebu wzdymająca się góra wodna. Zdażyłem schwytać wiosło i łódkę i wpadłem, kurczowo je trzymając, w lej wodny. Mojej pięknej fioletowej, jedwabnej czapeczki nie ujrzałem już więcej. Niech jej woda lekką będzie i niech w niej ikrę złożą najzłocistsze rybki Tyrreńskiego morza. Teraz więc było całkiem niewesoło. 30 metrów wprawdzie od brzegu nosiła mię woda, ale brzeg ten—to skała pionowa, wysoka na 100 do 300 metrów i ciągnąca się wzdłuż całej wyspy—do Marina Piccola i do Marina Grande. Do obu było jednakowo daleko...

Z wielkim wysiłkiem zacząłem holować kajak do brzegu. Nie miał on na dziobie żadnego sznurka, któryby pozwolił holować łódkę zębami. Obeimując sandolino z wiosłem jedną ręką i jedną nogą, jak czytelnik łatwo wyliczy, miałem tylko jedną rękę i jedną nogę, dla posuwania się naprzód. Ze zaś nurzało mię



ciągle, zalewając słońcą wodą oczy i zarzucając na nie włosy, przeto podróż taka z bagażem, zdawało się, że trwa wieki. Przytem, gdy już byłem przy brzegu, fala wracająca od niego, zaczęła mię stale odrzucać. Kiedy wreszcie dotarł do tego „brzegu“ (ściany z chropawej skały!), tak mię o skałę prasło, że napewno mi świeczki w oczach stanęły, gdyby nie to, że nadziałem się na ten podły napilnik z całkiem innej strony.

Toteż, kiedy mię odrzuciło, nabrałem respektu i zacząłem posuwać się wzdłuż brzegu, szukając punktu oparcia dla siebie i swego sandolino. Znalazłem wąskie pęknięcie skały, idące w głąb. Jednym ruchem pchnąłem w nie sandolino, korzystając z przypływu fali. Mnie i łódkę porwał wściekły pęd wody. Szeroka fala, pędząc w wąską i coraz ciaśniejszą szczelinę, szukając ujścia, darła się skłębionym nurtem w górę i wybuchła raz po raz niby syfon, spadając z powrotem mirjadem kropel. W tej mgłę wodnej, w ryku morza, w pianie wirów i warkocie huczącego

odmętu, raz wraz wzbierającego, chwyciło mię i sandolino między chropawę ściany i prasło raz po raz. W tej chwili woda spadła. Pół przytomny, zaczęłem się ręką o jakiś występ i wydzwignąłem siebie i łódkę wyżej; targnęła się z następnym przypływem, chcąc umknąć, przecież nie puściłem. Siedziałem teraz na wystającym kawałku skały, wpierając nogi w obie ściany; woda bowiem, wzbierając za każdym razem, dochodziła mi aż do głowy, ciało rwał prąd, a kajak miotał się jak szalony, wybijając z głuchym stukotem pustych boków o skały piekielną sarabandę. Czułem, że nie utrzymam się. W następnym momencie, kiedy woda spadła, szybkim ruchem odwróciłem kajak w powietrzu, stawiając go na powierzchni bez kropli wody w środku. Nim jednak usiadłem, woda wpadła i wszystko było na nic. Po kilku takich bezowocnych próbach, wypchnąłem się jakoś wraz z resztą odpływu i wypłynąłem z owej szczeliny. Tam mię jednak schwytała wracająca fala i wyrzuciła.

CIĄG DALSZY NASTĄPI.

## PO SZEROKIM ŚWIECIE

### W ODRADZAJĄCEJ SIĘ TURCJI.

I.

S pędziwszy dwa dni i dwie noce w wagonie, z rozkoszą wysiedliśmy o godz. 6 po południu w Constanzy w porcie tuż przy trzech dużych parowcach, mających nas zawieźć do Konstantynopola.

Różowym uśmiechem gasnącego słońca powitał nas cichy wieczór na brzegu Czarnego Morza. Leniwie pluskały drobne fale o kamienne ocembrowanie portu.

Siedzieliśmy na własnych walizkach i cierpliwie czekaliśmy, aż policja rumuńska skontroluje nasze

paszporty. Było ich 500. Policja, która zwykle miała do skontrolowania po kilkanaście, straciła głowę i gdyby nie pomoc, zorganizowana przez d-ra W. Karwackiego, kierownika wycieczki z ramienia „Orbisa“, prawdopodobnie nie wypłynęlibyśmy z portu przed ranem. Przy tej jednak pomocy pierwszy z trzech statków „Romania“, na którym się znajdowałem, już o g. 11 opuszczał gościnne brzegi Rumunii.

Noc była księżycowa i ciepła. Odurzyło nas pojętne słońce tchnienie morza i do późna zatrzymało na pokładzie, na którym lokowała się do snu grupa jadących trzecią klasą akademikzek i akademików. Cienki koc na twardej ławce i mała walizka zamiast poduszki — młodości, ty nad poziomy wylatuj! Każdy z nas chętnie przehandlowałby swoją pierwszą klasę za tę młodość.

Obudziliśmy się nazajutrz zdala od brzegów w mieniących się słońcem lazurach morza, zlewającego się z niebem. Byliśmy na pełnym morzu. Za nami płynęły delfiny i leciały mewy.

Koło drugiej statek nasz zatrzymał się u wyjścia do Bosforu i po chwili, załatwiwszy formalności portowe, ruszył w dalszą drogę.

Wszyscy staliśmy na pokładzie, zachwyceni rozwijającą się przed naszymi oczami panoramą. Ruiny zamków średniowiecznych i pałace nowoczesne, malownicze wioski i jakieś małe miasto, meczety, pokryte patyną czasu i marmurowa koronka rezydencji ostatniego sułtana Abdul Hamida, niezrównana Dolma Baheri i potem Złoty Róg i Stambuł.



Pałac Sułtański Dolma Bagheri — Costor.

Bardzo trudno opisać Konstantynopol. Cóż z tego, że powiem, że tak i tak wygląda, skoro i tak nikt nie będzie wiedział, jak wygląda naprawdę. Najbarwniejszy opis będzie tylko parodią rzeczywistości. Wszakże nawet tacy mistrzowie, jak Lotti, lub Claude Farrere nie zdołali oddać tego cudu kształtów i barw, który pławi się w ozłoconych słońcem lazurach morza i nieba.

To trzeba naprawdę zobaczyć samemu.

Więc zamykam oczy, żeby to wszystko zapamiętać nazawsze i potem w jakiś szary i słotny dzień z pamięci wydobyć. Ale tak długo nie można stać z zamkniętymi oczami. Setki rąk wyciągają się po nasze walizki. Nic nie rozumiem, co mówią ci mali czarni odrapańcy w fezach. Każdy chwyta jedną walizkę i niesie do auta, każdy chce, żeby mu za to zapłacić. Więc płacę, dużo płacę, ale oni są wszyscy oburzeni na mnie. I znowu nic nie rozumiem, a szofer się śmieje i rusza z miejsca.

— Jasza Pologne! — krzyczą za nami.

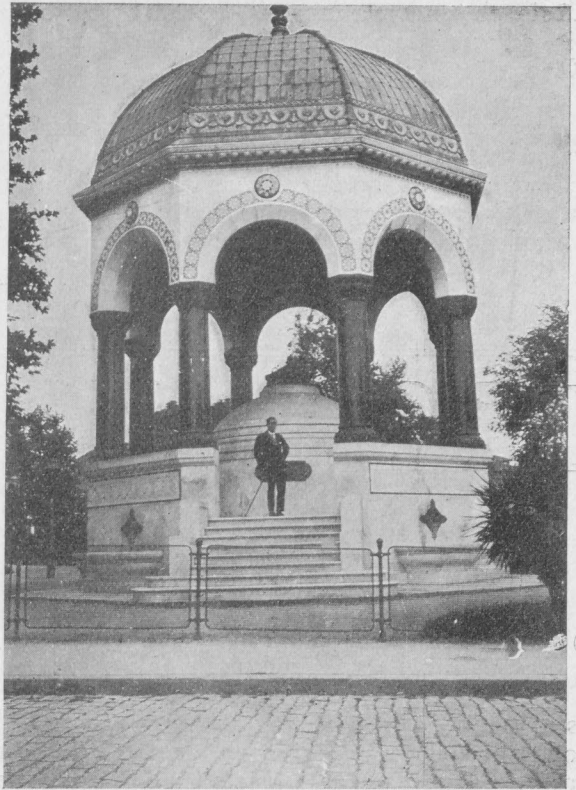
Ale szofera naszego to nie wzrusza. Z zawrotną szybkością mknie przez ulice Stambułu, nie daje nam się zorientować, gdzie jesteśmy.

Nigdy nie byliśmy tutaj... a jednak... to jest Aja Sofja... Prawda?? to jest Aja Sofja... Ten kompleks olbrzymich murów, nakryty kopułą...

Chcę powiedzieć szoferowi, żeby się zatrzymał, ale jestem tak wzruszony, że nie umiem tego zrobić i Aja Sofja ucieka mi z przed oczu, zakrywa się przede mną niskim szarym murem. Naprawdę szukają jej rozżalone oczy.

A Stambuł miga przed oczyma, pędzi dwoma rzędami dziwnych domów, pełnych ślepych okien i nie raz pozbawionych parterów.

Za chwilę jesteśmy na moście. Mijamy wóz ciężarowy, zaprzężony w duże czarne bawoły. Stąpają wolno i patrzą przed siebie z powagą. Rogi mają ubrane niebieskimi paciorkami. Takie same niebieskie paciorki tłuką się na korbie naszego samochodu. Mówił mi ktoś czasu wojny, że są to ich amulety. A wiadać skuteczne są owe amulety, skoro, przeleciawszy z błyskawiczną szybkością przez labirynt krętych, karkołomnych uliczek, żywi i cali dosta-



Fontanna obok meczetu Aja Sofja. — Styl maurytański.

liśmy się do naszego hotelu na ulicy Pera w europejskiej dzielnicy miasta.

Zaraz po przyjeździe i rozlokowaniu się w numerze, zarezerwowanym dla mnie przez towarzystwo podróżnicze „Orbis”, zbiegłem z oczu moim towarzyszom podróży i pomimo, że mrok już zapadał, zagłębiłem się w labirynt karkołomnie spadzistych, tu i owdzie pod niskimi dachami ginących uliczek Galaty. Życie tam wrzało w całej pełni, wylewało się przez naścieżaj otwarte drzwi na ulicę, śmiało się i płakało po kątach.

Lubię obce, nieznanne miasta, miejsca po raz pierwszy w życiu oglądane, ciekawe, pełne niespodzianek. Lubię czuć swoją polską samotność wśród tłumu obcojęzycznego, wszystko słyszeć i nic do nikogo nie mówić.

Jest w tem urok niewysłowiony.

Do późna też błąkałem się po tem obcym mieście, zabrnąłem aż nad Bosfor, piłem mikroskopijne kawy po turecku w kilku kawiarniach, przyglądałem się obcym ludziom i rzeczom obcym i nie rozumiejąc ani słowa po turecku, prawie wszystko rozumiałem.

A kiedyś koło drugiej w nocy wracał do hotelu na Pera, jeszcze tu i owdzie były otwarte sklepy i toczył się ulicą wrzaskliwy zgiewk pędzących z zawrotną szybkością samochodów. Nikt nie liczył się z tem, że dokoła śpią ludzie.

Na rogu jednej z największych ulic pod rześnięciem oświetloną kawiarnią darł się wniebogłosy jakiś wyrostek. Widocznie coś sprzedawał, powtarzał bowiem jeden i ten sam wyraz. Podeszedłem bliżej, żeby prze-



Na placu Aja Sofja.

konać się, co ten wyraz znaczy. Jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałem na chodniku dwie zarznęte kury. Więc w tem dziwnem mieście o drugiej w nocy na ulicy sprzedają kury.

Te wrzaski i trąbki samochodów, nieraz wielotonowe, długo jeszcze potem nie dawały mi zasnąć. Więc leżałem w łóżku i myślałem o tem, że jestem w sławnym Carogrodzie, dokąd przed wieki gnano polskie branki do jasyru, że tu już wówczas mieszkali

dzielni wojownicy i chytry politycy, którzy umieli prowadzić i wygrywać wojny, utrzymywać wojsko i rządzić krajem. I kiedy potem pomyślałem, że tu przed trzema laty cała niemal Europa rządziła się jak szara gęś, nie mogłem zrozumieć, co było przyczyną tego bankructwa. Czyżby Islam?

Z tem nierozstrzygniętym pytaniem zasnąłem.

EDWARD SŁOŃSKI.

# TECHNIKA — WYNALEZKI.

## RADJO.

**R**adjo! Wszędzie radjo! Wszyscy o radjo! Cały świat o tem pisze i mówi, na całym świecie miliony ludzi zakłada u siebie po domach odbiorcze stacje radja. Polska przez długi czas stała na ubożcu od tego ruchu, ale „epidemia“ ta coraz szybciej do nas przenika, coraz częściej się słyszy i czyta o radjo, coraz częściej widzi się w miastach tajemniczo wyglądające sieci drutów — radjowych. Maluczko, a oplotą się i u nas wszystkie dachy pajęczyną tych drutów — niech tylko wyjdą przepisy wykonawcze do ustawy z d. 3-go czerwca, niech tylko upadnie zakaz posiadania prywatnych instalacyj radja.

A więc radjo! Cóż jednak jest to radjo? W jakim to sposób tak można bez drutów telefonować na świat cały?

Pomówmy o tej ciekawej rzeczy.

Cały wszechświat jest wypełniony eterem, w którym pływają słońca, planety i gwiazdy, który wypełnia przestrzeń pomiędzy atomami w materji. Eter nie ma wagi, ani w żaden sposób uchwycić, ani nawet spostrzedz się nie da. Natomiast oglądamy ciągle ruch falisty eteru. Oglądamy go, jako światło. Światło, to nic innego, jak drgania eteru. I więcej jeszcze: zdolność wzajemnego przyciągania się magnesów, to wynik pewnego, jak się mówi w nauce „odkształcania“ się eteru wokół magnesu — odkształcania, zwanego magnetycznym. Przyciąganie papierka przez potarty o sukno bursztyn, to też wynik odkształcania eteru, odkształcania elektrycznego.

Otóż, gdy prąd elektryczny przebiega przez druty, to wokoło tych drutów powstają jedne i drugie odkształcania eteru. Przytem odkształcania te mają kierunek. zależny od kierunku prądu.

Jeżeli zmienia swój kierunek perjodycznie czyli stale co pewien czas, to również i odkształcania eteru zmieniają tak samo kierunek swoich napięć. a takie perjodyczne zmiany kierunku odkształceń elektrycznych i magnetycznych eteru — to fale elektro-magnetyczne. Fale takie wytwarza każdy przewodnik z prądem zmiennym. Np. druty, doprowadzające prąd do naszych żarówek w pokoju, wytwarzają takie fale; ale fale te można wykrywać tylko niedaleko od prze-

wodnika. W pewnych warunkach jednak można stworzyć fale, dające się wykryć na tysiące mil! Urządzenie, które to osiąga — to właśnie radjostacja nadawcza.

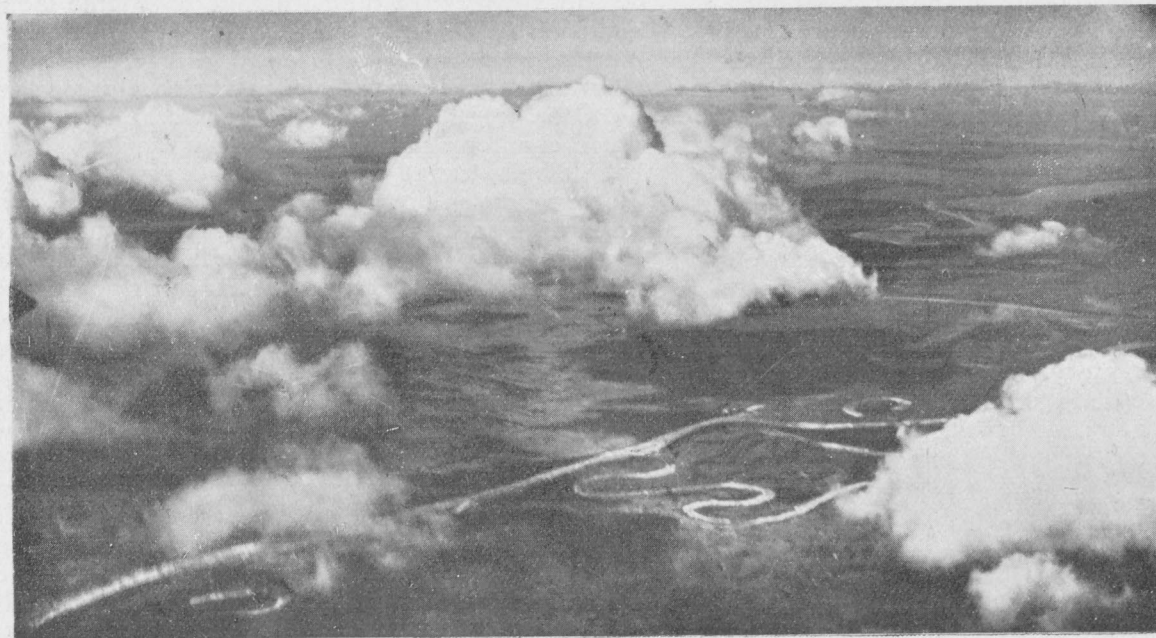
Przyjrzyjmy się teraz tym osobliwym urządzeniom i istocie fal elektromagnetycznych.

Każdy drut ma zawsze w sobie elektryczność: t. zw. „ładunki elektryczne“. Zazwyczaj ładunki te są w równowadze, ale skoro je w jakikolwiek sposób z tej równowagi wyprowadzimy i potem puścimy swobodnie, to zaczną biegać po drucie tam i z powrotem, drgać jak strzałka kompasu. Drgania te będą trwać póty, póki elektryczność otrzymanego zapasu energii nie wyładuje jako ciepło i... jako odkształcenie eteru, t. j. jako promieniowanie fal. Fale, w ten sposób stworzone, sięgają tem dalej im więcej elektryczności pulsuje w naszym drucie. Na tem opiera się stacja nadawcza.

A teraz: w jaki sposób można wprawić elektryczność w taki ruch wahadłowy?

Marconi, wynalazca radjotelegatu, robił to jak następuje. Brał dwa druty, zakończzone metalowemi kuleczkami i umieszczał pionowo jeden pod drugim tak, by kuleczkowe końce były zwrócone ku sobie i by między temi kulkami była przestrzeń kilku milimetrów. Przytem dolny koniec dolnego drutu zakopywał do ziemi. Gdy to było zrobione, przy pomocy pewnego urządzenia ładował obydwie kulki, (a więc i druty z nimi złączone), elektrycznością. Przytem jeżeli górny drut, zwany anteną naładował elektrycznością np. dodatnią, to dolny (wraz z całą ziemią), elektrycznością ujemną. Po pewnej chwili, bardzo krótkiej zresztą, napięcie elektryczności pomiędzy kulkami stawało się tak wielkie, że elektryczność ta przeskakiwała w postaci iskry z jednej kulki na drugą.

A taka jedna iskra, to nie jest jeden jedyny przeskok elektryczności. tylko cały szereg przeskoków tam i z powrotem. Niezbicie to stwierdzone tysiącem doświadczeń i wreszcie specjalnem zdjęciem kinematograficznem o szybkości miliona fotografii na sekundę. Zatem podczas jednej iskry elektryczność przebiegła kilka razy od wierzchołka drutu do ziemi i z



Poszybujmy  
w górę —  
z lotnikiem —  
ujrzymy  
rzeczy nowe,  
niebывале.  
Oto naprzykład  
krajobraz  
nadziemski —  
przepyszne  
kłęby chmur  
na tle ziemi. —  
Fotografowane  
z samolotu.

powrotem. Każdy zaś kurs jej tam i z powrotem wywołuje odkształcenie eteru w dół i w górę (elektryczne), w prawo i wlewo (magnetyczne), — to jedna fala. Jedna iskra wyzwala zatem kilka, lub kilkanaście fal, a każda fala z jednej serji jest mniejsza od poprzedniej, aż ostatnia zaniknie zupełnie. Taka serja fal nazywa się gasnącą, a fale — gasnącemi. Gdy zagaśnie ta serja, antena i ziemia znów się ładują i znów skacze iskra i znów mknie w świat nowa serja fal gasnących — i t. d. Sypią się iskry jak groszek jedna po drugiej w odstępach setnych części sekundy. A fale? Jak szybko lecą fale jedna za drugą? — W stutysiącnych i milionowych częściach sekundy! A rozchodzą się w przestrzeni z szybkością 300.000 km. na sekundę! Skąd, dzieląc drogę fali w ciągu sekundy, przez liczbę fal, które w ciągu tej sekundy przebiegają powyższą przestrzeń — otrzymamy odległość końca jednej fali od końca drugiej, t. j. „d ł u g o ś ć f a l i”. Fala jest tem dłuższa, im dłuższa jest antena, co zrozumieemy, jeżeli przypomnimy sobie, że każda fala powstała od kursu elektryczności wzdłuż anteny i z powrotem. Im antena jest dłuższa, tem, oczywiście, elektryczność zrobi mniej kursów w ciągu sekundy, a zatem i fale będą tem dłuższe.

Opisany wyżej sposób, t. zw. iskrowy, wytwarzania fal, jest już dziś przestarzały i nowe stacje posiłkują się innymi metodami. Mianowicie specjalnie budowane dynamomaszyny wytwarzają odrazu prąd bardzo szybko zmienny (albo co jeszcze częściej jest stosowane, wytwarza się prąd „wielce częstotliwy” przy pomocy t. zw. lamp katodowych. Przy pomocy tych cudownych lamp robi się takie urządzenie, w którym prąd stały, np. z akumulatora może przerywać siebie samego choćby miliony razy na sekundę. Ten przerywany prąd wpuszcza się do anteny z takim wyliczeniem, by w czasie jednego impulsu mógł dojść do końca anteny, w czasie przerwy wrócić z powro-

tem, a potem jednocześnie z nowym impulsem znów skoczyć do końca — i tak biegać tam i z powrotem jak wahadło nakręcanego zegara, póki telegrafistacie się podoba. W ten sposób antena promieniuje fale już nie gasnące, tylko ciągłe.

Telegrafista nie tylko, że może dowolnie kierować trwaniem drgania prądu w antenie, ale również „modulować” go, czyli dowolnie zwiększać lub zmniejszać siłę prądów anteny, a zatem i wielkości fal.

Wstawiając do instalacji w odpowiedni sposób mikrofon teletoniczny, umożliwiamy „modulowanie” fal elektromagnetycznych odpowiednio do drgania fal dźwiękowych. Fale, otrzymane przez połączenie fal zasadniczych, są właśnie falami dźwiękowymi. Fale pierwsze nazywają się falami wielce częstotliwymi, drugie — mniej częstotliwymi. Wiemy więc już, jak się to dzieje, że fale dźwiękowe przenoszą się w świat na falach elektromagnetycznych. Teraz rodzi się pytanie: w jaki sposób fale te można znów w dowolnym miejscu pochwycić i zamienić z powrotem na dźwięki?

Otóż w tym celu budujemy taką samą antenę, jak na stacji nadawczej. Fale elektromagnetyczne, przecinają tę antenę, wzbudzają w niej takie same prądy jak te, które w antenie nadzwyczaj wzbudzały dane fale.

Widzę Cię, szanowny czytelniku, jak wołasz w myśli: „już wiem! Prądy kierujemy do słuchawki telefonicznej, a ta nam każde drgnięcie odtworzy tak, jak było nadane”. Pośpieszyłeś się! Tak jest, ale niezupełnie. Drgania fal elektrycznych są tak szybkie, że żadna membrana nie może nadażyć drgać za niemi. Może jedynie drgać za falami dźwiękowymi. Tymczasem tych jest dwie i gdy jedna idzie w dół, to druga — do góry, zatem — nawzajem się niweczą. Jak wybrnąć z tego kłopotu?

Znalazł się na to sposób. Mianowicie przepuszczamy prąd otrzymany z anteny, przez wentyl elektryczny — tak zwany „detektor”, który przepuszcza do słuchawki tylko ten prąd, który idzie np. od anteny do ziemi, a zatrzymuje powrotny. W ten sposób dolna fala dźwiękowa zostaje obcięta, a pozostaje jedynie górna, którą już słuchawka doskonale odtwarza. Jako wentylu, czyli detektora używa się rozmaitych urządzeń. Najpopularniejszymi jednak są detektory kryształkowe i lampowe. Pierwsze, to kawałek jakiegokolwiek kryształu — najczęściej galeny, postawionego w styk z igłą. Jeżeli galenę i igłę włączymy w obwód prądu zmiennego, to galena przepuści przez siebie tylko ten prąd, który płynie naprz. od igły, a zatrzyma, który płynie do igły. A detektor lampowy — to nasza cudowna lampa katodowa — taka sama jak ta, co na stacji nadawczej przyczyniła się do powstawania fal niegasnących. Działa ona w ten sposób, że przez nią przechodzą obok siebie dwa prądy: jeden z miejscowej baterji, więc stały, a drugi — to nasz poprzedni znajomy — prąd zmienny z anteny. Otóż kiedy prąd antenowy ma kierunek dodatni — prąd lokalny płynie przez lampę silniej, niż normalnie. Kiedy prąd w antenie płynie w kierunku odwrotnym — lokalny prąd w lampie słabnie, ale bardzo nieznacznie w stosunku do prądu normalnego (t. j. kiedy antena jest wyłączoną). I tu więc znów zmiany zachodzą tylko w jednym kierunku, czyli że dolna fala dźwiękowa zostaje odcięta i nie przeszkadza już fali górnej w chwianiu membrany. Membrana zaś, ulegając tylko działaniu serji prądu, odtwarza dokładnie te dźwięki, które na stacji nadawczej wywołały daną modulację fal elektromagnetycznych.

Więc teraz wiemy już, w jaki sposób można telefonować bez drutu. Ale zaraz zaczyna w głowie powstawać cały szereg pytań w sprawie różnych szczegółów, a więc przedewszystkiem: co się robi, żeby nie utworzyła się w naszej słuchawce kakofonja, gdy jednocześnie telefonuje kilka stacyj nadawczych?

Jest i na to rada. Uderzenie fali w naszą antenę, jak już wiemy, wywołuje w niej prąd elektryczny, t. j. ruchy ładunków elektrycznych wzdłuż przewodu.

---

O KOMUNIKACJĘ MIĘDZY ŚWIATAMI. Światy, wirujące w bezmiarach wszechświata wiążą się obecnie ze sobą wielorakimi sposobami. Więc przedewszystkiem powszechną siłą ciężenia, która bez względu na ich odległości kieruje nieustannie ich ruchami, więc następnie — promieniami świetlnymi czy chemicznymi, więc wreszcie falami elektrycznymi, magnetycznymi lub cieplnymi. Jest to jednak komunikacja tylko przyrodzona.

Co się zaś tyczy komunikacji psychicznej, to drzemie ona jeszcze w niewiadomej przeszłości. A jakie przybierze formy? Telegraf bez drutu nie powiedział jeszcze swego ostatniego słowa

Wiemy również, że raz poruszone w antenie ładunki elektryczne, biegną w niej potem przez jakiś czas same tam i z powrotem. Wiemy jeszcze, że szybkość tych drgań prądu w antenie zależy od długości anteny. Otóż, jeżeli długość anteny odbiorczej jest równa długości anteny nadawczej, w takim razie nadchodzące fale będą trafiać w takt drgań własnych anteny odbiorczej i każda nowa fala będzie popierać elektryczność rozchyloną przez poprzednie fale, skutkiem tego będziemy mieli silną pulsację prądu w antenie. Gdy zaś anteny: nadawcza i odbiorcza są różnej długości, to nadchodzące fale elektromagnetyczne, nie trafiając w takt pulsacji prądu w antenie odbiorczej — będą te prądy hamować, niweczyć. Chodzi teraz o to, czy łatwo zmieniać długość anteny. Otóż na to niekoniecznie trzeba wylazić na dach i obcinać lub sztukować druty anteny. Można ją przedłużać lub skracać w ten sposób, że środkową część drutu antenowego nawijamy na tekturowy cylinder i drut ten obcinamy na końcu zwoju. Teraz ten obcięty koniec możemy przytykać do drutu uzwojonego w dowolnem miejscu zwoju, zmuszając w ten sposób elektryczność, aby przebiegała dłuższą, lub krótszą drogę, a zatem mamy już wygodny sposób do wydłużania i skracania anteny. Prócz tego są jeszcze i inne sposoby do nastrojania anteny. Tak nastrojona antena przyjmuje tylko te fale, do odbioru których ją nastroiliśmy.

Na zakończenie dodamy jeszcze, że do odbioru nadań stacyj bardzo dległych używa się jeszcze przyrządów, wzmacniających prądy powstałe w antenie odbiorczej. Takie wzmacnianie nazywa się amplifikacją, a podstawowym elementem tych amplifikatorów, t. j. wzmacniaczy jest znów nasza cudowna lampa katodowa.

Przy aparacie amplifikacyjnym możemy stosować zamiast anteny zewnętrznej, małą antenę ramową. Audycja z takiej anteny jest cichsza, ale czystsza i przyjemniejsza.

Z drugiej strony amplifikator umożliwia zastosowanie zamiast słuchawek „głośnika”, który brzmi na cały pokój. Słuchawka jednak daje audycję czystsza.

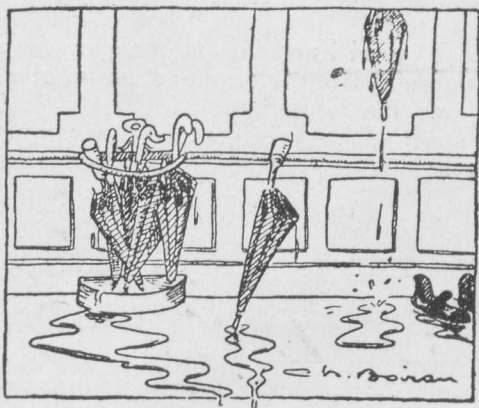
---

wa i dalsze postępy tego wynalazku zgotują nam wiele niespodzianek.

Niedawno młody inżynier z Nicei Deloy, badając i szukając, otrzymał fale stumetrowe, a nawet krótsze. Za ich pomocą jego własna stacja w Montberon we Francji może toczyć rozmowy prawie co noc z taką stacją, którą osobiście założył w Stanach Zjednoczonych. Jest to postęp radiotelegrafji nieoczekiwany, a zarazem upoważniający do wielkich nadziei na przyszłość. Zagadnienie telegrafji międzyplanetarnej rozwiąże się pomyślnie być może wcześniej, niż nam się dotąd wydawało.

# W O L N E Ż A R T Y

LATO W ROKU 1924 W HUMORYSTYCE  
FRANCUSKIEJ.



Powrót z wakacji.

## ODWOŁANIE.

Pewien ambitny obywatel, który chętnie chciałby się widzieć radnym miejskim, zawołał raz publicznie:

— Połowa rady miejskiej, to skończone osły.

W miasteczku zawrzało i zakipiało. Burmistrz wielce zgorzony wezwał owego obywatela i zażądał, aby publicznie uczynił zadość tak sromotnie obrażonej połowie ojców miasta.

Obywatel ów wtedy w miejscowym Dzienniku Urzędowym ogłosił, co następuje:

„Oznajmiam niniejszem, że połowa rady miejskiej, to nie są skończone osły”.

## CO ONBY WOLAŁ.

Ojciec do Jasia:

— Janeczku, dziś pewnie dostaniesz braciszka. A może wolałbyś siostrzyczkę?

— Jeśli tatusiowi wszystko jedno, to wolałbym konika na biegunach.



— Co ty robisz, Tadzik?  
— Uczę go całować się z wujaszkiem.

## TRZEBA POCZEKAĆ.

Przychodzi człek jakiś do fotografa i mówi, że chciałby się dać zdjąć.

— Ale żeby z całą rodziną mię pan zdjął—z żoną i ze wszystkimi dziećmi. Ile też to będzie kosztować?

— Za tuzin czterdzieści złotych—odpowiada fotograf.

— Aa, za tuzin! No to będę musiał jeszcze cokolwiek poczekać, bo jest nas dopiero jedenaścioro.

## POCIESZYŁ GO.

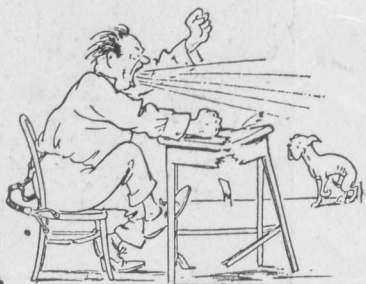
W roku 1905, podczas znanych rozruchów, wzięto „bundowca” z Pawiaka do Cytadeli na straconie. Skazanemu dodano rabina, żeby go po drodze przygotował na śmierć i udzielił pociechy duchowej.

Deszcz leje, rabin coś mamrocze, więzień milczy zamyślony, nie zważając na swego religijnego opiekuna. Wtem spojrzął na starego i żal mu się zro-

## ĆWICZENIA POSELSKIE PRZED SESJĄ JESIENNĄ.



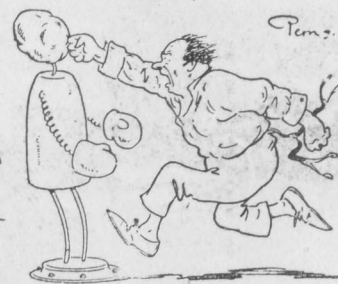
Wprawki w wymowie parlamentarnej.



Ćwiczenia w argumentacji mocnej.



Ekwilibrystyka parlamentarna.



Ćwiczenia atletyczne.  
(Le RIRE)

biło, że go tak jawnie lekceważy. Więc odzywa się, chcąc nawiązać rozmowę.

— Psia pogoda.

— Panu to nic—odpowiada rabin—ale ja będę musiał jeszcze wracać.

#### MIEDZY PRZYJACIÓLKAMI.

— Wyobraź sobie—mój Edward mię zdradza. Jak tu się zemścić.

— Zdradź go też.

— Ba, kiedy jużem go zdradziła.

#### NIEMA JAK ZGODA.

Ona:—Ach! nie mogę odżałować śmierci mego pierwszego męża!

On:—Och! ja jeszcze bardziej!...

#### ŻARTY STARE, ALE DOBRE.

Prawił dziekan z ambony o piekle, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów.

Na to zabrał się z kościoła pan Woyna, mówiąc:  
— Nic tam po mnie, bo zęby już mi do cna wyleciały.

Mówiła pani Zarebina, że mniejszy jest grzech, gdy się niema świadków do niego, na co obces zawołała pani sędzina Komorska:

— Dziękuję za taki grzech, który sama popełnić muszę!

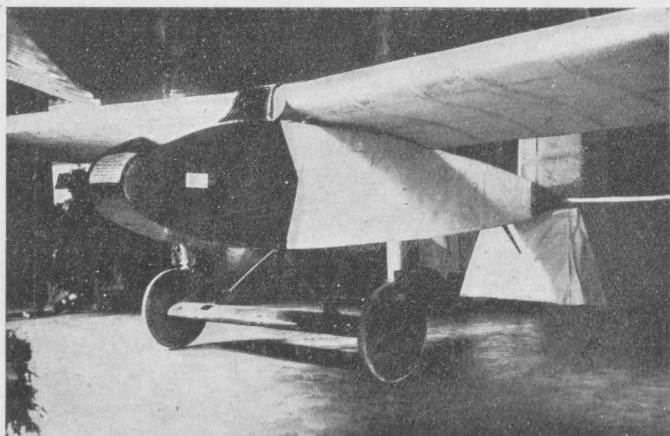
# C H W I L A B I E Ż A C A.



Minister przemysłu i handlu otwiera wystawę samochodową w Warszawie.



Nasi młodzi sportowcy na wycieczce w Konstantynopolu odpoczywają u siebie w hotelu. — Na oko Turcy z nich wcale niegorsi.



Bardzo to pomyślne, że młodzież nasza zaczyna się zajmować lotnictwem. — Oto samolot na wystawie lotniczej, zbudowany przez studenta Drzewickiego.



Jeden z zabytków polskich, niedawno odzyskany od Rosji—zubr z brązu. — Stoi obecnie na dziedzińcu zamkowym w Warszawie.



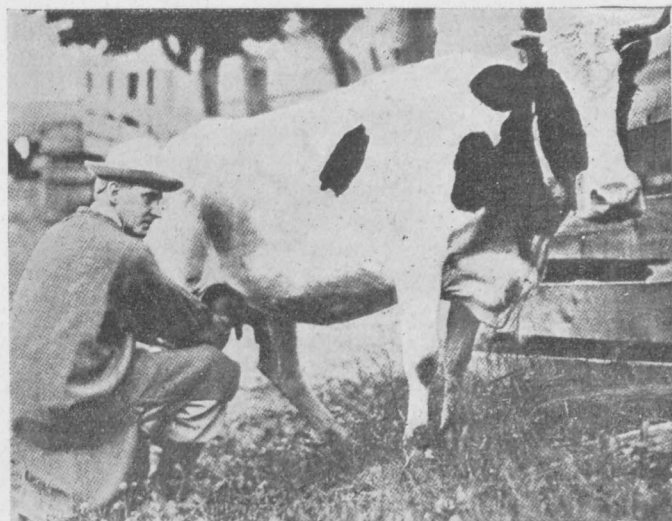
Rząd Rzeczypospolitej Gruzjińskiej na wygnaniu w Paryżu: Gekeczkori, minister spraw zagranicznych, Jordanja, naczelny minister, Kandelaki, minister skarbu.



Góra Kazbek i zejście z gór do stolicy Gruzji wężeńskiej.



Mac Donald niedawno z premierami Francji Herriotem i Belgii Teinysem na konferencji londyńskiej godził trudne do pogodzenia sprawy — obecnie — bez wawrzyków — wraca do Izby gmin.



Prezydent Stanów Zjednoczonych na wyczasach letnich zajmuje się z zamiłowaniem gospodarką rolną.

Bracia Jenike, Inżynierowie.  
FABRYKA DŹWIGÓW I MASZYN.

Warszawa, Żórawia 12.

TEL:  
29-63 i 220-00.

ADRES TELEGR.:  
„BRACIA JENIKE WARSZAWA“.

DŹWIGNIKI, LINY STALOWE, ŁAŃCUCHY,  
KARCZÓWKI.

==== Dostawa natychmiastowa ze składów. ====

PENSJONAT

„D y e t a“

Maks i Frydland

OTWOCK

Al. Kościuszki Nr. 8.

tel. 19.





P. Minister Spraw Wewnętrznych Hübner wrócił z objazdu Kresów Wschodnich, gdzie osobiście zarządził, co należy dla bezpieczeństwa na Kresach.



Fot. St. Brzozowski.  
TEATR POLSKI. Samborski w „Dantonie“.



Fot. J. Malarski.  
TEATR NARODOWY. Frenkiel (wojewoda) i Węgrzyn (Zbigniew) w „Mazepie“.

B-cia Schwalbe  
ŁÓDŹ

UL. PIOTRKOWSKA № 85

Magazyn bielizny męskiej,  
kapeluszy  
i artykułów galanterji modnej.

Pracownia sukien i okryć damskich

„Helena”

WARSZAWA - MOKOTÓW  
UL. RAKOWIECKA 31 m. 16

Ceny konkurencyjne.

## REDAKCJA BIESIADY

ogłasza dla swych Czytelników  
KONKURS FOTOGRAFICZNY Z NAGRODAMI

Za zdjęcia: aktualne, rodzajowe, krajobrazowe, wnętrz i sportowe:

I nagroda — 200 zł.

II „ — 100 zł.

III „ — 50 zł.

oraz 5 nagród w postaci bezpłatnej prenumeraty „Biesiady“ na kwartał.

Prosimy, aby Czytelnicy, nadsyłając zdjęcia, zechcieli stosować się do niżej podanych warunków:

1. Odbitki na lśniącym papierze, format najmniejszy 9×12.
2. Należy podać treść zdjęcia, datę zdjęcia i miejsce.
3. Zdjęcia, nadsyłane do nas, nie mogą być nadsyłane do innych pism.
4. Niezbędny jest dokładny adres wysyłającego.

Termin konkursu upływa z dniem 1 stycznia 1924 r. Wszystkie zdjęcia wyróżnione będą umieszczone w „Biesiadzie“ z podaniem nazwiska i za normalnym honorarjum.



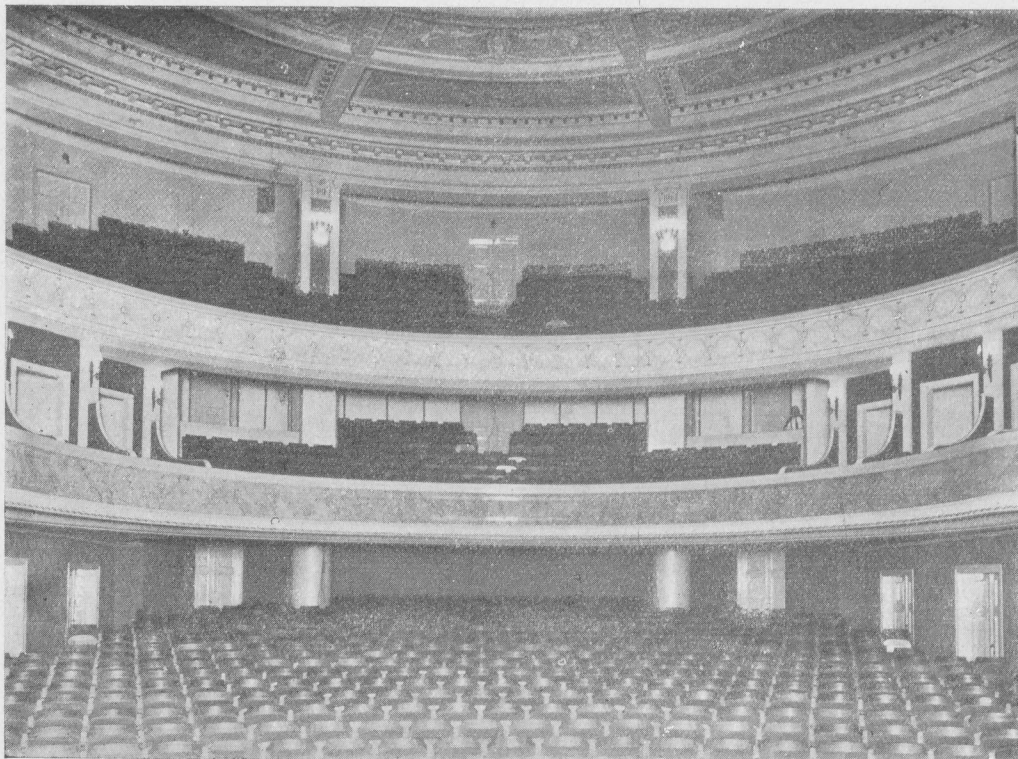
Fot. J. Malarski.

TEATR NARODOWY. Osterwa w „Mazepie“ w roli tytułowej.



Fot. St. Brzozowski.

TEATR POLSKI. Klimontowiczówna i Stanisławski w „Dantonie“



Widownia Teatru Narodowego  
w Warszawie.

Uroczyście otwarto nowy teatr  
4 października.

Teatr Narodowy rozpoczął swą  
działalność „Mazepą“ Słowackiego,  
wspaniale wystawionym.

MAISON MODES

„REGIE”

WARSZAWA, LESZNO 40 m. 4.

Pensjonat „A R B E S”

w OTWOCKU

Urządzony podług najnowszych wymagań  
Otwarty przez cały rok.

== Ceny przystępne . ==

RESTAURACJA

Bronisława Szyforskiego

w OTWOCKU

Poleca: wszelkiego rodzaju trunki wysokowe.

== ISTNIEJĄCA OD 1912 r. ==

B A N K L U D O W Y

SPÓLDZ. z NIEOGR. ODP.

w OTWOCKU

Willa „CACKO“ ul. Warszawska róg Kolejowej.

PRZYJMUJE WKŁADY NA OPROCENTOWANIE.

WYDAJE POŻYCZKI POD ZASTAW TOWARÓW I HIPOTECZNE.

ZAŁATWIA INCASSO WEKSLI.

OTWIERA RACHUNKI CZEKOWE.

WYKONYWA WSZELKIE CZYNNOŚCI WCHODZĄCE W ZAKRES BANKU.

KUPNO I SPZEDAŻ PAPIERÓW PROCENTOWYCH.



# R O Z M A I T O Ś C I

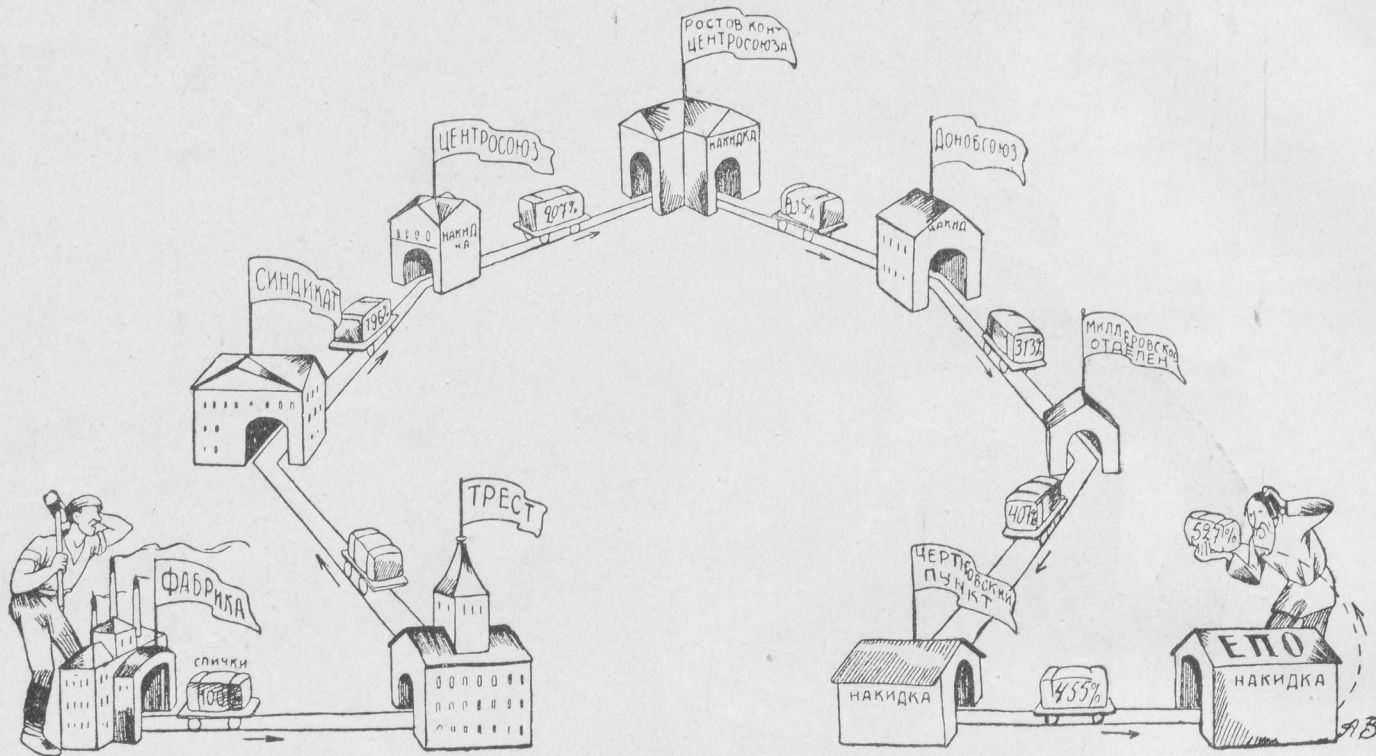
## Przemysł i handel w Rosji przed wojną i obecnie.

Prawie cały przemysł i handel w Rosji bolszewickiej, jak wiadomo, ujęły w ręce organizacje państwowe. Znana jest hałaśliwa reklama tego systemu: „Gdzie niet gosudarstwiennoj towrowli, tam krestjanin w rukach chiszcznika“ (Gdzie niema

handlu państwowego, tam chłop w rękach wyzyskiwaczy). Tak wyglądają mocne słowa hasel, rzuconych tłumom. Natomiast, jak to wszystko wygląda obecnie w życiu Rosji i jak tam dobrze ludowi z nową gospodarką, o tem najlepiej przekonywują,

trzy rysunki poniższe. Są to wykresy, którymi Ł. B. Kamieniew ilustrował swój referat o łańcuchu pośrednictwa państwowego, ogłoszony parę miesięcy temu na wszechzwiązkowym zjeździe sowietów. Czerpiemy te wykresy wprost z opublikowanych źródeł bolszewickich.

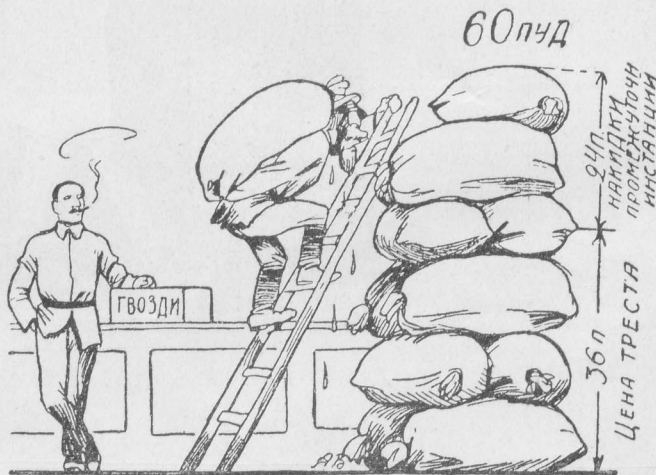
Kamieniew przypisuje takie opłakane wyniki pośrednictwa upaństwowionego wielkim kosztom transportu. Jednak prościej i trafniej byłoby zwyczajnie przyznać się do bankructwa gospodarki bolszewickiej.



Nim zapalki dojdą z wytwórni do spożywcy, to przechodzą przez tyle pośrednich urzędzeń gospodarki państwowej bolszewickiej, że cena ich ze 100% rośnie aż do 527 — czyli pięć razy!



Tak było przed wojną — za woreczek pszenicy — całą skrzynkę gwoździ — z podziękowaniem.



A teraz, gdy gospodarują bolszewicy — za skrzynkę gwoździ 60 pudów pszenicy.

## Jak pisać — jak mówić.

Jak pisać — jak mówić. Sto pięćdziesiąt lat niewoli Polski i wzmocniony skutkiem tego wpływ języków obcych na społeczeństwo polskie, zwłaszcza na jego warstwy wykształcone, zostawił ślad i w języku naszym. Zresztą w pewnych okolicznościach nadmierny wpływ języków obcych

działał również niezależnie od warunków politycznych. Tembardziej więc musiał język paczyć.

Obecnie więc obowiązkiem naszym jest szczególna dbałość o język.

Zresztą dbałość o język, o to, jak mówimy, a zwłaszcza

piżemy, powinna zawsze należeć do przykazań Polaka kulturalnego. Bierzmy przykład z Francuzów. Wszak Francuzi w dużej mierze świadomej dbałości o język zawdzięczają, że uczynili francuszczyznę językiem jasnym, przejrzystym, że dokładnie a zwięźle można nim oddać myśl wszelką.

Zdając sobie sprawę z rzeczowej potrzeby, redakcja *Biesiady* wprowadza stały dział, poświęcony poprawności języka polskiego.

W dziale tym roztrząsać będziemy zwroty czy wyrazy wątpliwie oraz odpowiadać na pytania Czytelników z tego zakresu.

**Okazać pomoc.** Jest to zwrot stanowczo i niewątpliwie rosyjski. Niestety, bardzo się rozpowszechnił właśnie w ostatnich dziesięciu latach wojennych, gdy tak często go używano w samej Rosji z racji wojny. Polski zwrot odpowiedni brzmi: dać pomoc, udzielić pomocy, pośpieszyć z pomocą, ułatwić.

Tak długo—jak długo. Spójnik, wzięty z niemieckiego, a co najważniejsza, rozwlekły, brzydki. Mamy przecież zwięzły i szczerze polski zwrot: póki — póty lub dopóki — dopóty.

W pierwszym rzędzie. W pierwszej linii również zwroty rozwlekłe, a bez najmniejszego wdzięku, bez plastyki. Lepiej używać przysłówków: przedewszystkiem, najpierw, nasamprzód, głównie.

## NOWE PISMA.

**RADJO-AMATOR.** Zaczął w Warszawie wychodzić nowy dwutygodnik p. t. *Radio-Amator*, prowadzony pod kierunkiem p. Stanisława Odyńca.

Pismo to, poświęcone sprawom popularyzacji radiotelegrafii i radiotelefonii, jest pierwszym i jedynym pismem tego rodzaju w Polsce.

Właśnie ukazał się numer pierwszy *Radio-Amatora*. Wydany nader starannie i z licznymi ilustracjami w tekście. Zawiera ciekawy i obfity materiał, zaznajamiający czytelnika ze stanem sprawy radja w Polsce, z kwestją polskiego Broadcastingu z rozwojem zagranicą amatorstwa radja i t. d. W dziale technicznym podano przystępny opis budowy najprostszego odbiornika radjowego t. zw. galenowego.

Radjo budzi słuszne i chwalebne zainteresowanie w szerokich warstwach, szczególnie obecnie po ogłoszeniu przez rząd ustawy, regulującej stan prawny radja w Polsce. Zjawia się więc nowe pismo w sam czas, wypełniając dotkliwą lukę,

jaka istnieje w tej gałęzi naszej literatury technicznej popularnej. Witamy z uznaniem nowe pismo i życzymy mu powodzenia.

Mamy tylko jedno zastrzeżenie — co do tytułu: wyraz „radioamator“, jak i inne podobne, nie jest zgodny z duchem języka polskiego—winien on brzmieć po polsku: amator radja, miłośnik radja.

*Redaktor naczelny: CZESŁAW ROKICKI.*

## O MODZIE.

W życiu powszednim są drobne sprawy i czynności, któremi historia zajmuje się bardzo mało.

Jedną z tych spraw drobnych jest właściwie i moda. Mała kapryśnica—której wszyscy ulegają, a mało kto bada. Jednak moda jest zjawiskiem ciekawym. Warto jej poświęcić nieco uwagi.

Choćby moda uchodziła za przedmiot nie poważny, jednak jest powszechna i potężna.

Wszędzie się wciska, każdy jej ulega i choć niby nigdzie nie przyjmują jej życzliwie, wszakże zwycięstwo zawsze jest po jej stronie i kroczy dziś, jak i przed wiekami w sile blasku, a ci, którzy rzucają na modę wyrazy potępienia, nie zdają sobie sprawy z jej ścisłego związku z życiem. Moda to potęga, która ma tak głębokie korzenie w życiu, że nie podobna jej zwalczyć.

Dużą rolę w modzie odgrywa umiejętność jej zrealizowania. Trzeba mieć pewną intuicję wrodzoną, aby tworzyć rzeczy nietylko modne, ale i rzeczywiście ładne. Dlatego też, kto chce być ubrany podług ostatniej mody i z tą elegancją, którą daje wycucie intuicyjne, ten niech uda się w **WARSZAWIE NA HOŻĄ 27 DO STANISŁAWA RZEWUSKIEGO.**

Młody, energiczny Stanisław Rzewuski istny mistrz sztuki krawieckiej w roku 1918 założył zakład krawiecki i w krótkim stosunkowo czasie już w sferach towarzyskich mówiono: „Kto chce mieć eleganci, a zarazem modny garnitur lub palto, ten niech staję tylko u Stanisława Rzewuskiego w Warszawie przy ul. Hożej 27, który z własnych i powierzonych materiałów rzeczywiście cuda tworzy w tej dziedzinie“.

### HANDEL WIN

i towarów kolonialnych

WALENTEGO KORZEC

w Warszawie

GRZYBOWSKA 72, tel. 248-28.

### PENSJONAT

JADWIGI NESTOROWICZ

OTWOCK, Al. KOŚCIUSZKI № 3.

Egzystuje od 1899.

SKŁAD PRZYBORÓW STOLARSKICH

C. H. WAJNREJB.

WARSZAWA, LESZNO 77.

### PENSJONAT

M. GOLDFIN

OTWOCK, ul. Warszawska 49.

NAJPOCZYTNIJSZYM PISMEM  
W WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM

SA  
**N O W I N Y**

niezależne, nie pozostające, na usługach żadnego  
stronnictwa.

Najskuteczniejszy organ ogłoszeń dla Przemysłu,  
Handlu i Finansów.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

**Łódź, ul. Piotrkowska 85, tel. 33.**

JEDNO Z NAJSTARSZYCH PISM W POLSCE  
42 LAT ISTNIENIA!

# KURJER LWOWSKI

dziennik demokratyczny.

Wychodzi we Lwowie codziennie o godz. 6-ej rano.

Redakcja: Ossolińskich 15, tel. 19.

Administracja: Chorążczyzna 26.

**Najbogatsze źródło informacji politycznych.**

Najwyższą propagandą Handlu i Przemysłu są  
ogłoszenia w „Kurjerze Lwowskim, który jest  
organem inteligencji miejskiej i wiejskiej, prze-  
mysłu i handlu, rękodzieła oraz sfer rolniczych.

## Dziennik Białostocki

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Białystok, ul. Rynek Kościuszki 1. Telefon 63.

Najpoczytniejsze pismo na Kresach Wschodnich.  
Dziennik wydawany przez S-kę dziennikarzy.

— **Pismo NIEZALEŻNE i BEZPARTYJNE.** —

Najszybsze informacje i wiadomości w dziale  
politycznym i społecznym.

„Dziennik Białostocki“ posiada filję w Warszawie  
(Nowy Świat 22) i jako organ dużego centrum  
rolniczego i przemysłowego nadaje się wyśmien-  
icie do reklamy.

NAJSTARSZE PISMO PROWINCJONALNE

## Gazeta Kaliska

wychodzi codziennie, podaje najświeższe wiado-  
mości z całego świata i odzwierciedla życie  
ziemi Kaliskiej.

Najodpowiedniejszy organ dla ogłoszeń.

Własne zakłady drukarskie, poruszane elektrycz-  
nością, maszyny do składania asortyment czcionek.

Redakcja i Administracja:

KALISZ, ul. JÓZEFINY 1 (dom własny), tel. 21.

## PŁUGI PAROWE

KOMPLETNY NA DOGODNYCH WARUNKACH SPŁATY GOTOWE  
GARNITUR 4, 5, 6, 7 i 10 SKIBOWE DO ORKI

**PŁUGI** KORZYSTNIE NA SPRZEDAŻ

Części zapasowe dla wszelkich systemów stale na składzie.

**CENTRALA PŁUGÓW PAROWYCH T. z. o. p.**

FABRYKA MASZYN

Telefony 6117, 6950 Poznań Z.S. Adr. telegr.: „CENTROPŁUG“

## Masarnia T. MINCBERG

Warszawa. Chłodna 30

w podwórzu.

# GARAŻ — BOKSY

**Warsztaty reperacyjne.**

Pneumatyki, benzyna, smary, akce-  
sorja samochodowe.

Kupno — sprzedaż samochodów. Porady dla kupujących. Wszelkie naprawy samochodów oraz  
wulkanizacja opon i kiszek. Blachy, winkle na stopnie i ramy do szyn. Wózki obrotowe do samochodów.

**Garaż Międzynarodowy M. PODWYSOCKI**

Leszno 23.

Warszawa,

tel. 91-65.

Pracownia Mebli

R. **GRYCZAKIEWICZ**

WARSZAWA,  
Leszno 61, tel. 174-12.

**DAKEM**

Gdańsko-Katowickie Towarzystwo  
= Handlu Żelazem i Metalem =

z o. p.

Katowice, Poprzeczna 2.

Telefony: 488, 489, 490 Adr. teleg. „DAKEM“.

DAKEM

Dział nowego żelaza:

Dział kolejowy:

Dział techniczny:

Dział szmelcu:

Dział metali:

DAKEM

**DAKEM**

FABRYKA WYROBÓW DRZEWNYCH  
**SURENA**

Specjalność

Skrzynie  
Kolejowe  
i pocztowe.

WARSZAWA, MYLNA 9-a, TEL. 164-58.

HANDEL  
wódek i likierów  
**F. SZULECKA**

Warszawa, ul. Wronia Nr. 38

POLSKIE ZAKŁADY PRZEMYSŁU SPORTOWEGO

„MARATON“

SP. Z OGR. ODP.

WARSZAWA, PL. MARJACKI La 4, TEL. 1125.

EGZYSTUJĄCY OD 1901 roku.

Pierwszy w Warszawie specjalny zakład linjowania papieru na księgi buchalteryjne, rachunki, nuty, kajety i t. p.

J. WĘGŁOWSKIKIDGO I A. LEMIŃSKIEGO  
Warszawa, Leszno № 40.

**Krawiec Męski**

przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres  
krawiectwa wchodzące

Warszawa, ul. Żórawia 2.

**R. Winnicki.**



# Leśna Stacja Klimatyczna

## Uzdrowisko--OTWOCK

wśród rozległych lasów sosnowych, w odległości 24 klm. od Warszawy, na prawym brzegu Wisły. Klimat łagodny i suchy. Główne wskazania: choroby dróg oddechowych, choroby serca, nerek, niedokrwistość, ozdrowieńcy po wyczerpujących chorobach, reumatyzm i t. d.

2 sanatoria urządzone i prowadzone według najnowszych metod leczniczych: Boutgen, lampa kwarcowa, hydroterapia, elektroterapia i t. d.

Uzdrowisko dla piersiowo chorych m. st. Warszawy.

40 pensjonatów mniej lub więcej komfortowo urządzonych oraz liczne wille, położone wśród lasów. Oświetlenie elektryczne. Na miejscu 20 lekarzy różnych specjalności. Nadzwyczajnie dogodna komunikacja z Warszawą: kilkadziesiąt par pociągów kolei Warszawa—Dęblin i kolejki podjazdowej.

Pocza, telegraf, telefon międzymiastowy i podmiejski.

Sezon trwa przez cały rok.

### CENY OGŁOSZEŃ

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
II „	180.—	90.—	45.—	25.—	12.—
III „	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
IV „	220.—	110.—	55.—	28.—	14.—
W tekście	300.—	150.—	75.—	38.—	19.—

Strona opisowa: Złp. 300.—Fotogr. i klisze na rach. klienta. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: Kron. Towarz. i Komunikaty za 1 m/m 65 groszy. Pierwsza strona tekst za 1 m/m 3 zł. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada.

### PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

w Warszawie: Nowy-Swiat 50 m. 4a tel. 291-60 konto czekb-  
kowe w P.K.O. № 8.866 „Ziw“.  
w Poznaniu: Sw. Wojciecha 3.  
we Lwowie: Lenartowicza 12.  
w Katowicach: Piebiscytowa 2, 1-sze piętro.  
w Królewskiej Hucie: Wolności 18.  
w Łodzi: Gdańska 57, tel. 27-90.  
w Białymstoku: Koszykowa 22, tel. 430.

Prenumerata: rocznie 45 zł., półrocznie 23 zł., zagranicą podwójnie.

Redaktor Naczelny  
**Czesław Rokicki**

Za wydawnictwo  
**Mikołaj Korwin-Sobolewski**

Redaktor odpowiedzialny  
**Tadeusz Jaszczewski**